MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 4 WARSZAWA, 24 STYCZNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

PRAWDA A CYWILZACJE

POPRZEDNI swój artykuł (Nauka a cywilizacje w Nrze 49 z ub. r.) skończyłem uwagą sceptyczną: jak pogodzić zawisłość nauki od cywilizacji z objektywizmem nauki, jak uznać bezwzględność wykrywanych przez naukę prawd? Czy to zawsze bywają prawdy naukowe, czy też nieraz prawdy cywilizacyjne, w szaty nauki przybrane?

Ażeby to zagadnienie wyjaśnić, trzeba się posunąć jeszcze trochę głębiej i zapytać o rodowód samego pojęcia Prawdy, tudzież jak jej problem bywa ujmowany w różnych cywilizacjach.

Zacznijmy od zalążka Prawdy, od prawdomówności. Nie należy ona bynajmniej do „generaljów etyki", to jest do powszechnych pojęć etycznych; powszechnych, chociaż stosowanych odmiennie w każdej cywilizacji. Zapatrywania co do prawdomówności są różne. U Westermacka znajduje się na 26 stronicach bitego druku istny skarbczyk do tej ciekawej sprawy. Okazuje się, jako pewne ludy potępiają kłamstwo zawsze i bezwzględnie, lecz inne wcale nie zawsze, a jeszcze innym jest to sprawą obojętną.

Prawdomówność nie stanowi tedy powszechnie przyjętego obowiązku, ani nawet nie bywa wszędzie ceniona. Na ogół jest to pozostawione utylitaryzmowi. Czyniąc zaś przegląd wyższych szczebli cywilizacyj, natrafiamy w cywilizacji żydowskiej szczególną dwoistość: obowiązek prawdomówności względem współwyznawców, lecz uprawnianie kłamstwa wobec „gojów", a nawet w niektórych okolicznościach zaleca się okłamywać ich.

Na generalja etyki składa się siedem pojęć: obowiązek, bezinteresowność, sprawiedliwość, sumienie, praca i czas; niema w tym szeregu Prawdy, ani nawet prosta prawdomówność nie stanowi obowiązku. A zatem pojęcie Prawdy, stanowi dorobek moralny ponad owe generalja, zachodzi więc rozwój moralności, wzbogaconej nowym ideałem.

Rzecz prosta, że im więcej gdzie osób przejętych miłością prawdy, tem więcej tam będzie moralności. A zatem niema co mówić o etyce, gdzie kłamstwo jest równouprawnione z prawdą, a wybór pozostawiony swobodnemu uznaniu każdej jednostki i wszelkiego zrzeszenia.

Podobnież niema moralności, gdzie sądzą, że ona może być dwojaka (czyli jak zwykle się mówi „podwójna"). A nie stanowi to specjalności talmudu! Powszechnie dziś jest przyjęte, że w polityce etyki być nie może. (por. artykuł „*Harmider etyk*" w Nrze 24 „Myśli Narodowej" 1936.).

Kto tak twierdzi, ten atakuje zarazem etykę życia prywatnego, bo życie nie zniesie tej dwoistości. Albo — albo! zabrzmi w każdej głowie.

Toteż, gdzie nie uznaje się ideału Prawdy, tam podkopuje się prawdomówność życia powszedniego. Podstawa i szczyt nie mogą nie być zawisłe od siebie wzajemnie. Możliwość danego szczytu zależy wprost niewolniczo od istnienia stosownej podstawy, trwałej; a gdy szczyt się wali, podstawa traci rację bytu, i któż będzie do niej przywiązywać wagę? Będzie jakby korzenie, nie mogące zdobyć się na wydanie łodygi, i same przytem wysychające, czy raczej gnijące.

Prywatne życie, czy publiczne, jednako ma być poddane wymogom moralności. Tego wymaga etyka katolicka, która jest etyką cywilizacji łacińskiej, a zatem zarazem i przez to samo rodzimej kultury polskiej. Dwoistość etyki nie da się pogodzić ani na chwilę z cywilizacją łacińską, bo jest niezgodna z etyką katolicką. Zaczęło się przypuszczać wprawdzie możliwość takiej dwoistości pod wpływami bizantynizmu, gdy zaczęto podkopywać powagę Kościoła. Jest to zasadniczo sprzeczne z katolicyzmem, gdyż w dwoistości takiej tkwi kłamstwo, a katolicyzm stawia kult prawdy wysoko na świeczniku swej nauki. Przed prawdą ma się korzyć nietylko jednostka, ale także społeczeństwo, naród, państwo.

Obok katolickiej, kroczyłaby w tej dziedzinie etyka buddyjska, gdyby... gdyby była żywa. Ale wszyscy badacze buddyzmu zgodni są w tem, że

prawdziwego buddyzmu, wywodzącego się z etyki Gotamy-Buddy nigdzie niemą; może on tkwić gdzieś w głowie któregoś z żółtych mnichów, który roztrząsa zalecenia Buddy w swem odosobnieniu, nie dzieląc się z tem nawet z innemi mnichami tego samego klasztoru, lecz nigdzie w całej Azji etyka buddyjska nie obejmuje żadnego zrzeszenia. Nikt nie zaprzeczy tej etyce jej wysokiego szczebla, ale ona nigdzie a nigdzie nie pada na szalę, bo czysty buddyzm bodaj czy nie liczy w Europie wyznawców więcej, niż w Azji. Trochę molów książkowych i trochę dziwaków — oto prawdziwi wyznawcy Buddy. Historja stwierdziła dobitnie, do jakiego stopnia niepłodną jest etyka ateistyczna.

Należy bowiem pamiętać, jako buddyzm jest ateizmem, który wydał z siebie szereg politeizmów.

Buddyjskie przykazanie prawdomówności obowiązuje obecnie tylko mnichów wyższych szczebli obrządku żółtego (bezżennych), a więc nawet nie wszyscy mnisi są niem krępowani, a cóż dopiero świeccy wyznawcy potwornych buddyjskich „bożków". W całej Azji buddyjskiej, tudzież w bramińskich Indyach kwestja ta pozostawiona jest dowolności każdego z osobna. Nie napróżno powiedziano, że moralność jeszcze się w Indyach nie narodziła.

Uwzględnić tu jeszcze należy pewną okoliczność, dotychczas w nauce etyki ignorowaną: istnieje hierachia prawd, zależnie od ich zakresu, a w związku z tem od wagi następstw. Nie wszystkie prawdy stoją na tej samej wyżynie, nie wszystkie kłamstwa jednakiem są przestępstwem; jedne mogą być uchybieniami, innych zaś niesposób nie uważać za zbrodnie. Zawisło to od wielkości koła, jakie zatacza dany rodzaj prawdy czy kłamstwa. Prawdomówność prywatna, tycząca się wyłącznie tylko dwóch osób, pytającego i zapytanego, może też obracać się w kwestji drobnej, nawet błahej, tracącej znaczenie jakby na poczekaniu. Zmienia się to, gdy sprawa znaczenia nie traci ni w następnej godzinie ni na jutro, ani może na czas dłuższy, może na bardzo długo, a może na całe życie. Również inaczej przedstawia się etyczna waga zeznania prawdy, lub popełnienia kłamstwa, gdy w sprawę wchodzą interesy osób trzecich. Inaczej traktujemy zeznania sądowe, niż rozmowę prywatną: inną też przykładamy miarę, gdy coś „padnie" przy stoliku polityków „kawiarnianych", a zgoła inną, gdy dosłownie to samo powtórzone zostanie z krzesła poselskiego, a cóż dopiero z ławy ministerialnej; inny szczebel zła, gdy zrobi co złego policjant, a całkiem inny, gdy ten sam zły postępek pochwali minister. Wszystko zależy od wielkości koła, na którego powierzchni działa prawda lub kłamstwo, tudzież od krótkotrwałości następstw. Rzecz prosta, że koła owe są stosunkowo drobnemi, póki chodzi o sprawy tylko prywatne.

Ciekawe stanowisko zajmuje co do tego islamizm. Koran zna tylko prawo prywatne, toteż muzułmanie naciągają do niego sprawy publiczne. Służbę wojskową otrzymało się w imię wojny świętej, ale system podatkowy podciągnięto pod obowiązek dawania jałmużny (niby składki „dobrowolne", nieprzymierzając). Upaństwowiono jałmużnę, i już za kalifa Omara (634-644) ustanowiono pięć rodzajów takich jałmużn podatkowych. Całe takie łatanie państwowości Koranem podszyte było z natury rzeczy samowolą, wobec czego nie mogło było obejść się bez terroru.

Żadnej etyki życia publicznego w islamie niema: i monarcha czy urzędnik są uczciwymi, gdy spełniają sakralne przepisy Koranu; cnoty zaś ich w stosunku do poddanych mogą być li tylko cnotami życia prywatnego, okazywanemi względem pewnego poddanego w pewnej chwili, w pewnej sprawie (sprawiedliwość, hojność, miłosierdzie i t. p.), a okazywanemi z własnej ochoty, wcale nie z obowiązku.

Etykę narzucał panującemu Konfucjusz. Okazuje się w tem cała wyższość starej cywilizacji chińskiej, ale też wypada i tu stwierdzać płonność etyki areligijnej. Konfucjanizm zamienił się w „religię wiernopoddańczości" (jak to określił Ku-Hung-Ming). O dobru i złu roztrzygała władza, a krytyka, spragnionego moralności, skracało się o głowę. Nie o wiele lepiej rozwinęła się etyka w islamie, gdzie ostatecznie „kult Allaha zmienił się w kult szeika".

Turcy słynęli z prawdomówności (w życiu prywatnem; publicznego nie znali poza obozem), czego nie można powiedzieć ani o Chińczykach, ani o Hindusach, chociaż wydali byli Konfucjusza i Buddę. Pod tym względem Mahomet więcej miał szczęścia; gdy tamtych nauka cała uległa sromotnym przekręceniom, ocalało zamiłowanie Proroka do prawdomówności. Piękny ten przymiot obserwuje się naogół w całym islamie, w obydwóch cywilizacjach, które ogarnął, w arabskiej i turańskiej. Krzyżowcy stwierdzali tę cnotę u swych muzułmańskich nieprzyjaciół, podobne świadectwa dochowały się w literaturze i tradycji hiszpańskiej.

Ale to wszystko obejmuje tylko życie prywatne, a w publicznem tylko osobiste stosunki między jednostkami, mającemi z sobą bezpośrednio do czynienia, Są to kultu prawdy początki, którym brak rozwiniętego szerzej dalszego ciągu, dla braku odpowiedniej organizacji życia publicznego. Nie było tam pola dla prawdy wyższego rzędu. Z drugiej strony dałoby się tu zastosować kostyczne przysłowie, jako niema nic złego, coby na dobre nie wyszło; nie psuje im prawdomówności „góra", nie kala ich kłamstwem, bo ten problem u „góry" nie istnieje i nikt tam nie ma pojęcia o tem, że mógłby istnieć.

Ta *sancta simplicitas*, ta barbarzyńska naiwność kończy się u wrót cywilizacji łacińskiej. My tylko jedni jesteśmy narażeni na komplikacje owego problemu podstawy, a szczytów, powyżej określonego; my tylko turbujemy się o prawdę „u góry". Skąd to wyróżnienie, skąd zakłócenie sumienia obywatelskiego, gdy cała reszta swiata poprzestaje na prawdomówności prywatnej i nic nie wie o możliwościach sumienia w życiu obywatelskiem?

Pierwszą przyczynę stanowi ponad wszelką wątpliwość etyka katolicka, ale jest jeszcze i druga przyczyna, która drogą okrężną dochodzi do tego samego wyniku, a jest nią nauka.

Obie te strony naszego przedmiotu dotykają głęboko ważnego problemu wykształcenia etycznego i tam się łączą.

(D. n.)

FELIKS KONECZNY

ZŁOTY WIEK

W OBOZIE NARODOWYM bardzo głośno dziś się woła o wielką rewizję historii i bardzo żywo odczuwa tę potrzebę. Jest to najzupełniej zrozumiałe, że pierwsze pokolenie Polski odrodzonej, myślące i czujące narodowo, a więc w oparciu o przeszłość i tradycję, chce na dzieje swej ojczyzny spojrzeć własnemi oczyma, a nie przez cudze okulary. Czuje też ono żywotną potrzebę zbudowania nowej syntezy, bo bez tej syntezy chromać będzie cała jego ideologia, i to na punkcie najbardziej zasadniczym, bo jacyż to będą narodowcy, co o swoim narodzie nie potrafią nic powiedzieć.

Podstawą do owej syntezy będą jak zawsze fakty, o które wiedzę wciąż się wzbogaca, wyciągając coraz nowsze szczegóły; na pograniczu jej będą stały ich prześwietlone pewną myślą uszeregowania, pozwalające na snucie pewnych wniosków i ułatwiające pracę uzupełniającą. Taką właśnie pograniczną książką jest ostatnie dzieło profesora Konopczyńskiego [1]), którego pasjonujący temat i bogactwo materiału skłania mię do rozbicia zamierzonej recenzji, aż na trzy artykuły, tak że teraz zajmę się tylko tomem pierwszym, a więc wiekiem złotym, aż do końca „szczęśliwości polskiej" to jest do roku 1648-ego.

Że książka prof. Konopczyńskiego nie jest jeszcze syntezą a tembardziej rewizją, dziwić nie może, bo sprawy jeszcze nie dojrzały. Trzeba jeszcze bowiem drobiazgowych badań, a także pewnych czysto teoretycznych przemyśleń. Ale mimo wszystko te dwa grube tomy, napisane świetnym językiem, są już zapoczątkowaniem zarówno rewizji jak i syntezy. Uczony, sumienny badacz zbilansował ten dotychczasowy dorobek nauki, wskazał problemy, czekające na rozwiązanie, dał charakterystyki osób i wypadków, i powiązał wszystko w całość stanowiącą istotną historię narodu. Na razie nic więcej zrobić nie można, a w każdym razie niczego więcej firmować nie może ktoś biorący powołanie historyka na serio, a nie jako publicystyczną zabawkę.

W układzie pracy swojej prof. Konopczyński oparł się tradycyjnie o panowania, nie wprowadzając jeszcze podziału na okresy, chyba je liczyć na tomy, czy dopatrywać się jakiegoś według pewnych rozdziałów traktujących o rzeczach przed laty po za nawias historii wyrzuconemi, jak społeczne, gospodarcze czy kulturalne. Ale układ taki jest słuszny, bo każda wolna elekcja u nas jakieś wielkie „nowe" zaczynała, a trudno dzielić coś tak organicznego jak panowanie, zjednoczone indywidualnością królów.

Z tych królów w czasach złotych przywykliśmy wychwalać Zygmunta Augusta, Batorego i Władysława IV-go — pozostałych Zygmuntów, choć czasy „zygmuntowskie", usuwać w cień. Otóż tu mamy pierwszą rewizję, bo choć Batory oczywiście nie stracił, to stracili dwaj inni na rzecz dwóch pozostałych. Zygmunt August swoim zadaniom nie sprostał i w życiu narodu zostawił pustkę; testamentu mu nie przekazał, żyć z nim nie umiał, rządzić nim nie bardzo potrafił. Romantyczny urok i idylla Barbary, dziś całkiem odarta z legendarnego nimbu, a także fakt, że to ostatni Jagiellon — zaskarbiły mu pośmiertną miłość narodu, ale werdykt historii nie może być inny, jak właśnie ten, że zadaniom swoim bądź co bądź nie sprostał.

Gorzej jeszcze z Władysławem IV-tym. Ów monarcha chwytający za serce swoją rycerskością i rozmachem; ostatni władca mocarstwowy, marzący o podbojach i krucjatach — okazuje się tylko marzycielem. Profesor Konopczyński wprawdzie używa o nim słowa „geniusz", ale w świetle właśnie jego oceny i zestawionych przez niego faktów to słowo wydaje mi się stanowczo za wielkie. Mniejsza już o rezultaty rządów tak fatalne, jak żadnego innego króla (burza kozacka);— ale jak przyznać ten epitet monarsze, co rwał się do rządów, miał wielkie możliwości, a zmarnował wszystko sam przez własne wady i własne czyny. Brak konsekwencji, wytrwałości i błędna ocena wypadków (polityka wobec prawosławia), rzucają złe światło na Władysława jako władcę wielkiego. Prawda, że miał momenty świetne i że naród szlachecki mu często fatalnie ręce wiązał, jak w sprawie szwedzkiej, ale ostatecznie winien temu sam król, co ducha narodowego nie rozumiał, ufności rozbudzić nie potrafił i, prawdę rzekłszy, nie robił nic, żeby naród mieć za sobą, a wszystko, by być za słabym do rządów autorytatywnych. Nieład dworskiej gospodarki i chimeryczność królewska leżały u początku wszystkich klęsk życiowych Władysława.

Tymczasem Zygmunt Stary staje przed nami zupełnie oczyszczony z zarzutów niedołęstwa, a wszystkie wady jego panowania okazują się jedynie ciężkim spadkiem po Olbrachcie i Aleksandrze. Podkreślić należy to tembardziej, że właśnie Olbrachtowi robi się teraz reklamę i winduje się go na wielkiego (Papée) bez żadnych właściwie podstaw, bo tylko na rachunek owych dobrych chęci, któremi jednak piekło jest wybrukowane. Drugi z Zygmuntów — Zygmunt III okazuje się wzorowym królem konstytucyjnym, mądrym pomnożycielem państwa i twórcą naszej jednolitości religijnej, która pozwoliła nam uniknąć tragedii Niemiec, a poniekąd i Węgier.

Naogół można więc powiedzieć, że sterowano Polską w tych czasach dobrze i że jeden zaledwie król — Henryk Walezy zasługuje na miano bezwzględnie złego. Tembardziej więc dręczy pytanie — dlaczego rezultat tych złotych czasów tak niesłychanie opłakany?

Pytanie to stawia sobie oczywiście i Konopczyński, widząc przyczynę katastrofy w tem, że „umysł polski, acz zdolny i bystry, nie osiągnął (poza kilku wyjątkami) rzeczy wielkich; pozostał świetnym, obiecującym młodzieńcem. Zabrakło mu planowej uprawy, zachęty — i tego podłoża siłotwórczego, jakie daje charakter". I dalej: „Jakkolwiekbądź, z tym zasobem sił intelektualnych i moralnych, jakie mieli Polacy czasów Zamoyskiego, mogliby oni iść naprzód i wzwyż, gdyby nie ich ustrój państwowy — najtrudniejszy w świecie. Despotyzm nie wymaga innych cnót prócz posłuszeństwa; polska wolność żądała rozu-

---

[1]) Władysław Konopczyński: „Dzieje Polski nowożytnej", Gebethner i Wolff 1936, 2 tomy; tom I 1506—1648 stron 437, tom II 1648—1795 stron 459.

mu stanu, ofiarności, czujności od setek tysięcy. Tych starczyło w jednem pokoleniu, zabraknie w następnych. Jakikolwiek też nad narodem unosił się „Duch Dziejów Polski", ku czemukolwiek ta „Polska szła", nadludzkich zadań, jakie jej postawił Wiek Złoty, spełnić, taka jaka była, nie mogła. Od degradacji uratować ją mógłby tylko albo cud władzy, narzucający się wolnym duchom, albo jeszcze większy cud obywatelskiego wychowania".

Smutne słowa i do cierpkich rozważeń zachęcające, bo jednak nie tłomaczące wszystkiego, skoro wciąż nasuwać się będzie pytanie — dlaczego zawiódł charakter i dlaczego ustroju nie poprawiono?

„*Dulcis sanguis Polonorum*", owe tysiące przymiotów co mają wiele wdzięku, ale mało mocy, spowodowały upadek państwa, wykoleiły jego prześliczny złoty start, którego legendy niszczyć nie trzeba, Zło nie było nawet w *liberum veto*, a temmniej w lęku o *absolutum dominium*, ale tylko w owym braku charakteru którego dziś brakować nie powinno, bo czasy się zmieniły.

Charakter mocny, a więc prawdziwy i wolę swoich celów świadomą może posiadać tylko taki naród, czy człowiek, co ma swoją osobowość i zna ją. Gdzie osobowości nie ma, a tylko jakiś konglomerat, tam oczywiście ani woli jednolitej ani mocy działania być nie może. To nie są przymioty, na które mógłby się zdobyć ktoś rozdarty. Do czasu można nadrabiać te braki, ale w końcu przyjdzie chwila, która każe obnażyć całą głąb duszy, a wtedy to organiczne kalectwo ukryć się nie da.

A taką kaleką stawała się rok za rokiem świetna Polska złotych zygmuntowskich czasów. Najprzód jeszcze w Horodle, a potem ostatecznie w Lublinie dokonała dzieła jedynego w historii: bezkrwawej aneksji przez podwyższenie niższych, przez unię trzech różnorodnych żywiołów, co połączone osłabić musiały ów piastowski, który państwo wybudował. Ogromne mocarstwo dźwignięto jakby czarami, bez trudu, bez wysiłku, bez walki i ta właśnie jasna słoneczność podboju, owo miłosne zbratanie stało się prawdziwą przepaścią zasłaną różami. Polska żyć nie mogła, bo popełniła dobrowolne samobójstwo, roztapiając się w „Rzeczypospolitej trzech narodów".

A tymczasem te trzy narody były inne; inne słońca cywilizacyjne je wychowały i w jednym związku tylko bezsilnie się szamotały, daremnie probując dać syntezę. Pierwszy zbuntował się pierwiastek ruski; morzem krwi zalał państwo i zakończył szczęśliwość złotego wieku. Płakali potem nad tem Szewczenko i Kulisz, ale poniewczasie. Bajeczny, ułudny gmach unii zawalił się.

Katolicka zachodnia Polska zbratała się na swoją zgubę z bizantyjską Rusią, co potem przemieniła się w kozacko-barokową Ukrainę, i z Litwą, którą po rzymsku ochrzciła, a która też ruską a turańską miała kulturę. Trzy cywilizacje się zetknęły i wydały sobie bój. Tworzyły się różne dziwa, ale ostatecznie upadło państwo i unja się zerwała. Dziś każdy z trzech narodów żyje osobno. Państwo nasze objęło tylko część owych litewsko-ruskich obszarów i chce uporać się z resztkami troistości, chce być stanowczo jednolite, nie używa Orła i Pogoni, ale jak przed unją — tylko Orła.

I tak być musi, tak być powinno. Imperja buduje się inaczej — nie łączy się w jedno rzeczy różnorodnych. Do *liberum veto* jeszcze znośnego w kulturalnej, zachodniej Polsce nie przypuszcza swawolnej, anarchistycznej Rusi, ani ślepo karnej swym bogom Litwy. Ustrój był trudny, ale poprawić się nie mógł, bo jego twórca utracił nad nim władzę. Zawiódł charakter, bo trzy charaktery wzajemnie mieszać się i ścierać poczęły.

Prawda, że i okoliczności ów proces utrudniały; brakło dynastji, brakło stałego ośrodka woli, ale wielkie pytanie, czy najbardziej nawet utalentowana dynastja scaliłaby coś, co tak dalece się różniło. W każdym razie historja pokazuje, że nietylko stosunki wewnętrzne troistego państwa były trudne, ale i zewnętrzne także znajdowały się w tragicznym konflikcie.

Każdy bowiem z trzech narodów miał swoich wrogów i swoje żywotne zadania: Polska — Bałtyk i walkę z Niemczyzną, Ukraina Ruś — morze Czarne i problem turecki; wreszcie Litwa — Moskwę i kwestję wschodu, Podporządkować jedno drugiemu w olbrzymiem, atakowanem zewsząd, państwie, nigdy się nie udawało. Rezultat, — że żadna z tych kwestyj nie została pozytywnie roztrzygnięta, wszystkie przegrano, a państwo osłabiono. „Kto dwie sroki za ogon trzyma, ten żadnej nie ma" — to prawdziwe mądre przysłowie.

A zresztą znowu wielkie pytanie czy niektóre z tych problemów mogły być wogóle w troistem państwie rozwiązane. Wiek złoty widział nas na Kremlu i po Kłuszynie Żółkiewski podjął próbę jeszcze jednej unji, ale fiasko z tego wyszło; przepaść cywilizacyjna była nie do zasypania. A znowu morze Czarne i wielka antyturecka krucjata, to był sen bez uprzedniego wprowadzenia Hadziaczu, bez odcięcia w osobne unijne państwo całej Ukrainy. O tych rzeczach są nawet, choć nie tak wyraźne, bardzo ciekawe napomknienia u Konopczyńskiego.

Szukając przyczyn upadku Polski, wiele się zawsze mówi o ustroju, wiele o tragicznym wymarciu państwowo twórczej dynastji. Ale bądź co bądź kwestji nie ulega, że jądro rzeczy zawsze leżeć będzie w owej raptownej metamorfozie państwa z Polskiego w polsko-litewskie. Unja uratowała nas przed niemczyzną, to prawda, ale przyniosła nam za to inne zło. Leżeliśmy na tragicznem pograniczu i tragedję swych losów musieliśmy przeżyć, a równie tragiczne też były i losy naszych sąsiadów: Czech i Węgier.

A co do ustroju, tak przepięknego w swojej koncepcji, to był on gmachem nie wykończonym; budowę jego przerwano, bo zabrakło narodu. Gdy on znowu odżył, gdy zaczął się po latach cementować, poprawił sobie ten ustrój w ustawie majowej i dźwignął praworządne państwo własnemi jedynie siłami. Niestety już za późno, a i wtedy w troistem państwie wylęgła się Targowica. A i dziś jeszcze prawdziwej jedności nie mamy. Zdobyć na nowo tę jedność, stać się narodem z charakterem, oto największa nauka przeszłości, oto ostrzegawczy głos dziejów.

KAROL STEFAN FRYCZ

CZY BIERNAT PISAŁ JAMBAMI?

ILEKROĆ odczytuję wiersze Biernata z Lublina, tylekroć prześladuje mnie podejrzenie, że jego Ezop pisany jest nie zwyczajnym ośmiozgłoskowcem sylabicznym, lecz—jambami. Nie takiemi oczywiście jambami, jakiemi posługiwali się poeci starożytnego Rzymu i Hellady, bo w języku polskim niepodobna układać metrów iloczasowych, ale jambami — powiedziałbym — dziecinnemi, tworzonemi w ten sam sposób, w jaki sposób dzieci tworzą nie mające nic wspólnego z iloczasem daktyle, recytując przy zabawach takie naprzykład wierszyki:

ENTliczki, PENTliczki,
CZERwone STOliczki,
NA kogo WYpadnie
NA tego BĘC.

Powyższego wierszyka nigdy dzieci nie śpiewają. Nie może tedy być tu mowy o tak zwanym akcencie melicznym w węższem znaczeniu tego przymiotnika, jakie mu nadaje w swoim „Zarysie wersyfikacji polskiej" p. Karol W. Zawodziński. Dzieci zawsze wierszyk ów tylko recytują, wybijając akcenty zwykle daktylicznie, a nie licząc się zgoła z normalnemi akcentami wyrazowemi na drugich sylabach od końca. Owe daktyle dziecinne, mimo swoją naiwność, podobniejsze są w brzmieniu do klasycznych daktylów greckich i rzymskich, niż daktyle goetheańskie w Hermanie i Dorothei, albo daktyle mickiewiczowskie w:

SKĄD liTWIni wraCAli
Z NOCnej wraCAli wyCIECZki.

W daktylach bowiem (i spondejach) mickiewiczowskich akcent wyrazowy wypada na tych samych sylabach, na których wypada akcent metryczny, podczas gdy w przytoczonych wyżej daktylach dziecinnych, podobnie jak w starożytnej poezji greckiej i rzymskiej akcenty wyrazowe wypadają na innych sylabach, niż akcenty recytacyjne.

Otóż ilekroć czytam wiersze Biernata z Lublina oraz rozmaite inne polskie ośmiozgłoskowce archaiczne, tylekroć podejrzewam, że nie należy ich czytać w ten sposób, jak czytujemy zazwyczaj wiersze dzisiejszych poetów polskich, to znaczy akcentując wyrazy wielozgłoskowe na drugich sylabach od końca, lecz że należy je akcentować jambicznie:

eŻOP wySZEDŁ, pilNO paTRZĄC,
i UŹrzał DWIE wroNIE sieDZĄC;
a HNET do PAna PObieŻAŁ
aBY mu RYchło POwieDZIAŁ,

że jednem słowem należy je skandować tak, jak skandujemy rymowane jamby łacińskie, naprzykład:

noBISque MITtas FIliUS
chaRISma SANcti SPIriTUS

albo:

paTERA GEMmis COrusCA,
paNIS salSUS, molLIS esCA,
diVInum VInum FRANcisCA.

Tylko w ten sposób czytając wiersze Biernatowe, jestem w stanie delektować się ich smakiem. Przy takiem czytaniu bowiem okazuje się, że wiersze owe wolne są od wszelkiej chropowatości rytmicznej i że posiadają znakomite rymy. Przy akcentowaniu zwyczajnem rymy: dziwny—pilny, wzrostu—łystu, wyszedł—był medł, wystąpił—złożył, pojadł—naszych gardł, rozgniewał—kazał itd., sprawiają wrażenie kulfoniastych już nie prymitywów, lecz idiotyzmów. Przy czytaniu jambicznem są to rymy równie doskonałe, jak łacińskie: *chordis—ludis, magnete—de te, tempestas—deitas, corusca—Francisca etc.*, etc.

Profesor Brückner zadał sobie niemało trudu, żeby rzekome chropowatości rytmiczne wierszy Biernatowych umotywować poprzekręcaniem pierwotnego tekstu autorskiego przez kopistów i drukarzy. Ale choć nie myślę przeczyć stwierdzonemu przez znakomitego uczonego faktowi, że teksty Biernatowe uległy zniekształceniom, wszystkich usterek rytmicznych na karb kopisty, czy drukarza, zwalać niepodobna. Jest ich zbyt wiele. Natykamy się na nie (traktując wiersze Biernata, jako normalne, sylabiczne ośmiozgłoskowce) w każdej niemal linijce odczytywanego tekstu.

Tymczasem, gdy utwory Biernata skandujemy, wszystkie usterki rytmiczne zanikają bez śladu. Tam, gdzie w poszczególnym wierszu (mam tu na myśli linię druku) ilość zgłosek jest większa lub mniejsza, niż osiem, wystarcza poprostu zamiast jambu wstawić inną stopę metryczną, żeby chropowatość zanikła.

O ile wiem, nauka nie ustaliła jeszcze do tej pory, z jakiej mianowicie średniowiecznej redakcji łacińskiej Biernat przekładał Ezopowe greckie bajki na język polski. Stwierdzono w każdym razie, że tekst Biernata różni się od tekstów Stainhoewela, Abstemiusa, Jana z Kapuy. Według Brücknera tekst Stainhoewela służyć miał Biernatowi za wzór „tylko co do żywota Ezopowego". Z jakiego wydania „*Rimiciusa*" i „*Romulusa*" Abstemiusowego korzystał Biernat, tego nie zbadano. Chrzanowski przypuszcza, że prawdopodobnie posługiwał się jednem z bardzo już za jego życia licznych wydań zbiorowych różnych bajek Ezopa, do których dołączano bajki Abstemiusa. Wiemy, że oprócz starożytnej przeróbki Fedruszowej, pisanej trimetrem jambicznym, istniały i średniowieczne przeróbki wierszowane. (Np. Dystychy Anonima Neweleti, o których wspomina Brückner). Otóż zasłużyłby się bardzo literaturze polskiej taki badacz, któryby odnalazł pomiędzy owemi przeróbkami, przeróbkę pisaną łacińskiemi jambami rymowanemi.

Wydaje mi się bowiem rzeczą najprawdopodobniejszą, że z takiej właśnie przeróbki Biernat tłumaczył. Odkrycie jej miałoby kapitalne znaczenie, stanowiłoby bowiem dowód, że poglądy nasze na rzekomą chropowatość archaicznej poezji polskiej są fałszywe. Nietylko wiersze Biernata, ale również liczne wiersze wcześniejsze i sporo późniejszych, które dziś uchodzą za kulawe rytmicznie i rzekomo „prymitywnie" są rymowane (np. Legenda o św. Aleksym, Rejowska „Rozmowa między panem, wójtem i plebanem") okazałyby się utworami nienagannemi zarówno pod względem rymu, jak rytmu.

Pierwsi rymopisowie polscy nie znali przecież innych podręczników poetyki, jak tylko łacińskie. Tłumacząc teksty łacińskie starali się przecież chyba upodobnić wiersze polskie jaknaj-

bardziej do łacińskich wzorów. Sylabiczne teksty łacińskie tłumaczyli sylabicznie, ale metryczne musieli próbować przekładać metrycznie i tak przekłady swoje dukać, jak skandowali oryginały. Trudno również sobie wyobrazić, aby nie próbowano naśladować po polsku łacińskich sposobów rymowania. Inaczej rymowano ośmiozgłoskowce typu *„Stabat Mater"*, inaczej zaś typu *„Veni Creator"*. Inaczej trocheje inaczej jamby. Przypuszczam, że metryczne stopy próbowali wierszopisowie archaiczni polscy stosować również do twórczości oryginalnej. Nie brakło między owymi wierszopisami wybornych łaciników. Niepodobna wprost sobie wyobrazić, żeby ci sami ludzie pisywali po łacinie wykwintnie, a po polsku rymowali prymitywnie („wykwintnie" nie znaczy: klasycznie).

Oto są motywy, dla których pozwoliłem sobie w zeszłym roku w nr. 16 „Myśli Narodowej" wtrącić do recenzji teatralnej przypuszczenie, że wiersze Biernata z Lublina „najprawdopodobniej dukane były niegdyś rytmicznie":

zaJĄC się NIEgdy z ŻÓŁwia ŚMIAŁ
jaKOby NIEryCHŁO bieGAŁ.

Wspomniałem również, że zasada akcentowania jest tu taka sama, jak w pieśni wielkanocnej:

weSOły DZIŚ nam DZIEŃ naSTAŁ
któREgo z NAS każDY żąDAŁ.

W świeżo wydanej książce p. Karola W. Zawodzińskiego p. t. „Zarys wersyfikacji polskiej" znajduję na str. 71 przypisek następujący:

Niedawno p. St. Godlewski (w artykule o „Pierścieniu wielkiej damy" Norwida, w „Myśli Narodowej" nr. 16) wysunął twierdzenie, że w archaicznej wersyfikacji polskiej rozstawiano akcenty odpowiednio do schematu stóp antycznych, nie licząc się zupełnie z akcentami wyrazowymi. Przedewszystkiem brak na to dowodów: boć chyba nie chodzi tu p. G. o akcent „meliczny", t. j. akcentowanie w śpiewie nie liczące się ze zwykłemi przyciskami, zjawisko powszechnie znane i w śpiewie polskim, zwłaszcza ludowym polskim, szeroko rozpowszecnione, ale innej kategorji; a w dodatku w przytoczonym przykładzie („Wesoły nam dziś dzień nastał") akcenty w śpiewie zazwyczaj układają się w inny schemat (trocheiczny, a nie jambiczny, jak twierdzi p. G.) Powtóre nie znamy przykładu wersyfikacji, któraby, biorąc pod uwagę jakiś element foniczny (tu akcent) zużytkowała go wbrew realnym właściwościom materjału słownego. Chyba, żeby w staropolszczyźnie w omawianym okresie akcentu wyrazowego wcale nie było, a to prawie na moje wychodzi, jak czytelnik spostrzeże z dalszych rozważań.

Przedewszystkiem muszę się zastrzec, że nie wysuwałem żadnego twierdzenia, jak mi to imputuje p. Zawodziński. Podkreślam najwyraźniej, że wyraziłem tylko skromne przypuszczenie. Twierdzenie oczywiście musiałbym udowodnić. Przypuszczenie wystarczy umotywować. Ponieważ nie uczyniłem tego w mojej recenzji, czułem się moralnie zobowiązany do uczynienia tego we wstępie do niniejszego artykułu.

Pan Zawodziński zaprzeczył memu przypuszczeniu, nie znając jego uzasadnienia. Nie zależy mi na racji konwersacyjnej, lecz na *meritum*, więc będę bardzo zadowolony, jeśli mnie przekona, iż nie mam racji. Argumenty jednakże, które wysunął w swoim przypisku, wydają mi się do rozwiania moich przypuszczeń niewystarczające. Pan Zawodziński stanowczo się myli, utrzymując iż pieśń wielkanocna „Wesoły nam dziś dzień nastał" śpiewana bywa zazwyczaj z akcentami trocheicznemi. Po przeczytaniu przypiska p. Zawodzińskiego poprosiłem o odśpiewanie tej pieśni kucharkę mojej teściowej, Marynkę, będącą w tej materji nie byle jaką powagą, jako że śpiewała długie lata w chórze kościelnym. Otóż Marynka odśpiewała ową pieśń, wyraźnie akcentując sylaby parzyste, a zatem tokiem jambicznym, nie zaś trocheicznym. Zdarzyło się to w drugie święto Bożego Narodzenia. Przez parę dni następnych rozlegały się w całym domu zamiast dźwięków kolendy dźwięki pieśni wielkanocnej. Oto czego narobił przypisek pana Zawodzińskiego. Jambicznie również akcentują ową pieśń wszyscy moi znajomi, wśród których urządziłem rodzaj ankiety.

Pan Zawodziński powiada, że akcent meliczny, czyli akcentowanie w śpiewie, nie liczące się ze zwykłemi przyciskami, jest zjawiskiem innej kategorji, niż akcent metryczny w wierszach Biernata z Lublina, o który mi chodzi. Dlaczego ma on być zjawiskiem innej kategorji? Byłbym bardzo wdzięczny p. Zawodzińskiemu, gdyby mi zechciał tę sprawę wyjaśnić. Mnie się zdaje bowiem, że aczkolwiek nie każdą pieśń akcentuje się metrycznie, to jednak każde skandowanie jest zjawiskiem w pewnym sensie melicznem. Słyszałem, że heksametry Homerowe recytowano śpiewnie, przy wtórze muzyki. Czy w utworze:

AaA KOTki DWA
SZAre BUre ObyDWA
NIC nie BĘdą RObiŁY
TYLko DZIECko BAwiŁY

mamy do czynienia z akcentami podyktowanemi przez melodję, czy też melodję dostosowujemy (za każdym razem inną) do akcentów recytacyjnych? Piosenkę ową każda matka, mamka i niańka zwykle tylko recytuje, jeśli ją zaś która kiedy zanuci, to melodię improwizuje.

Ale gdybym się nawet zgodził z p. Zawodzińskim na stosowanie przymiotnika meliczny, tylko do akcentu zdecydowanie melodjowego, to jeszcze bym musiał zwrócić mu uwagę, że w pewnych wypadkach akcent recytacyjny z akcentam śpiewowym dokładnie się zgadza. Tak jest właśnie w pieśni wielkanocnej, o którą się sprzeczamy. O jambiczności tej pieśni świadczy zresztą nie tylko melodja, ale również rymy.

Pan Zawodziński pisze: „nie znamy przykładu wersyfikacji, któraby, biorąc pod uwagę jakiś element foniczny (tu akcent) zużytkowała go wbrew realnym właściwościom materjału słownego".

Jeśli w wierszyku „ENTliczki, PENTliczki, CZERwone STOliczki" nie zużytkowują dzieci akcentu wbrew realnym właściwościom materjału słownego, to nie zużytkował go również w ten sposób Biernat, tworząc swoje jamby. Jeśli zaś dzieci zużytkowują akcent wbrew realnym właściwościom materjału słownego, to p. Zawodziński się myli twierdząc, że nie znamy przykładu takiej wersyfikacji.

Wreszcie przypuszczenie pana Zawodzińskiego, iż w staropolszczyźnie mogłoby, czy musiałoby nie być akcentu wyrazowego, o ileby w wierszach akcent ów zaniedbywano na rzecz akcentu metrycznego (lub innego recytacyjnego, sprzecznego z wyrazowym) wydaje mi się bardzo ryzykowne. Z równą słusznością możnaby przypuszczać, że w dzisiejszej polszczyźnie akcentu wyrazowego niema, ponieważ dzisiejsze dzieci niektóre wierszyki akcentują metrycznie.

STEFAN GODLEWSKI

PISMA ROMANA DMOWSKIEGO

Na ostatniej stronie tego numeru znajdą czytelnicy warunki, na jakich każdy z nich dojść może łatwo do posiadania wszystkich ważniejszych pism Romana Dmowskiego w wydaniu zbiorowem. Tutaj podajemy z prospektu motywy tego bardzo oczekiwanego wydawnictwa. *Red.*

STANOWISKO Romana Dmowskiego w Polsce pochodzi ztąd, że postawił on sobie za zadanie życia skupić myśl Narodu na wyraźnych celach politycznych i na logicznych, jasnych prowadzących do nich środkach, zorganizować tym sposobem myśl i siły Narodu i zorganizować jego czyn, tą myślą kierowany.

Nie było to zadanie na krótką chwilę, ani na lat parę, raczej była obawa, że całe życie człowieka może na jego spełnienie nie wystarczyć.

Spełniał je Dmowski, jako polityk i jako pisarz polityczny. Każda większa sprawa, jaką dla spełnienia tego zadania podejmował, zaczynała się od pracy pisarskiej, a dopiero w następstwie wyrażała się w działaniu.

Gdy w zaraniu swego czynnego życia stwierdził w społeczeństwie polskim brak związku między myślą a czynem, karmienie się tej myśli szkodliwemi fikcjami, nierozumienie najprostrzych prawd politycznych, obowiązujących w życiu innych narodów, ukazują się „Myśli nowoczesnego Polaka", a po nich następuje szeroka praca polityczno-wychowawcza nad młodzieżą wszystkich trzech zaborów, która w tej książce znajduje główną podstawę. Wyrasta w całej Polsce nowe pokolenie działaczów, którzy widzą przed sobą jasny cel i pracą swoją go zbliżają. Organem tej pracy był „Przegląd Wszechpolski", miesięcznik trójzaborowy, na którym się wychowało pierwsze pokolenie ludzi, obejmujących myślą całą Polskę i znających jej sprawy w poszczególnych dzielnicach.

Wystąpiwszy na szersze pole w Dumie rosyjskiej, zetknął się z polityką międzynarodową i zaczął ją pilnie studjować; spostrzegł, że Europa zaczyna się dzielić na dwa wielkie obozy, z których jeden tylko, a właściwie stojące na jego czele Niemcy, kwestię polską zna i interesuje się nią w swoich celach, dla Polski zabójczych, więc pisze książkę „Niemcy, Rosja i kwestja polska" i sprawia jej wydanie w paru językach, ażeby wykazać przeciwnikom Niemiec wielkie, nierozumiane przez nich znaczenie Polski i niebezpieczeństwo, wynikające dla nich z niemieckiego rozstrzygnięcia jej losów. Jednocześnie z tem, a zwłaszcza bezpośrednio potem organizuje w miarę swych sił opinię na zewnątrz Polski, spoczątku wśród społeczeństw słowiańskich, a później we Francji i Anglii i budzi w niej zainteresowanie Polską w pożądanym kierunku. Przygotowuje sobie teren działania zarówno w Rosji, jak w jej zachodnich aliantach na wypadek konfliktu, który przewidywał i który w szybkim tempie się zbliżał. To mu dało rolę kierownika polityki polskiej po stronie antyniemieckiej.

Starając się skupić wszystkie myślące siły opinii polskiej dokoła śmiałego celu odbudowania państwa w przyszłej wojnie, jednocześnie prowadził walkę z żywiołami, stojącemi mu na drodze Coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że głównym źródłem zamętu opinii polskiej są żydzi. Na dwa lata przed wybuchem wojny światowej wypowiada im otwartą walkę w roku 1912-ym. Wkrótce potem ukazuje się jego książka „Upadek myśli konserwatywnej w Polsce", wykazująca, że sfera, mająca do niedawna w swych rękach przewodnictwo w narodzie i kierownictwo polityki polskiej, utraciła swą wartość, poddawszy się wpływom masonerii, biorąc na siebie obronę żydów.

Wkrótce po wydaniu tej książki wybuchła wojna światowa, co sprawiło, że ta książka Dmowskiego jest najmniej znana i nie zdążyła wywrzeć tego wpływu, który autor jej przeznaczył.

Czas trwania wojny jest niejako przerwą w działalności pisarskiej Dmowskiego: całą swoją energię skupił na akcji politycznej, głównie w stolicach państw zachodnich, i tam wszakże była potrzeba przygotowania różnych momentów tej akcji pismem. To przygotowanie wyrażało się w memorjałach, składanych rządom. W chwili wszakże najniebezpieczniejszej, kiedy drogą intryg dyplomatycznych starano się wojnę zakończyć przedwcześnie, bez decydującego zwycięstwa, Dmowski wydał na prawach rękopisu angielską rozprawę o „Zagadnieniach Europy środkowej i wschodniej", wykazującą, że koniec wojny w tej chwili byłby zwycięstwem celów niemieckich i w której uzasadnił konieczność przebudowania politycznego Europy i odbudowania Polski.

Po skończeniu wojny i odbudowaniu się Polski ukazała się jego książka „Polityka polska i odbudowanie państwa", wyjaśniająca rodakom, jaką drogą Polacy doszli do zwycięstwa swej sprawy, i przygotowująca ich do życia we własnem państwie.

Niestety już pod koniec konferencji pokojowej zachorował on ciężko (na zapalenie płuc). Wprawdzie życie jego uratowano, ale do kraju wrócił z nadwątlonemi siłami i w rozpoczynającem się życiu państwowem nie mógł wydobyć z siebie potrzebnej energji. To życie, powróciwszy do kraju, zastał już zorganizowane w swoich podstawach. Szło ono w znacznej mierze mimo niego i główne, czynne w nim siły niszczyły to, co on całe życie starał się budować. W tym samym kierunku szły wpływy zewnętrzne. Zmuszony przez stan swego zdrowia do względnej bierności, poświęcał swą uwagę studjom nad nowym położeniem Polski i Europy.

Gdy wybuchł kryzys światowy, oświetlił go w dwu książkach: „Świat powojenny i Polska" i „Przewrót", ażeby wpoić opinii polskiej pojęcia, któreby ją uchroniły w jak największej mierze od skutków tego kryzysu, a pozwoliły raczej skorzystać z jego skutków gdzie indziej dla wzmocnienia swego państwa.

Ten ścisły związek między polityką Dmowskiego, a jego pracą pisarską sprawił, że książki Dmowskiego były coraz więcej czytane i zapotrzebowanie rośnie nie tylko na rzeczy najnowsze, ale i na dawniejsze.

Do słów powyższych, motywujących zamierzenie wydawnicze, redakcja dołącza prośbę pod adresem czytelników, aby z całych sił zamierzenie to poparli. Każdy z nich wie to po sobie, ile polska myśl polityczna zawdzięcza pismom Dmowskiego. Nieuświadomiony jest dostatecznie przez ogół społeczeństwa jako twórca Polski dzisiejszej i tej, która z posiewu jego myśli w przyszłości rozrastać się będzie. Rozpowszechniajmy jego dzieła w jaknajszerszych kręgach.

NA WIDOWNI

Żydowska geneza „frontu ludowego". — 50 lat manewrów. — Dyskusja 1890 r. — Lud wiejski, żydzi i nacjonalizm. — Propozycje pokojowe B. Prusa. — Marzenia A. Langego. — Testament Wyspiańskiego. — Lawina i sztuka pływania.

ŻYCIE wysunęło na pierszy plan dążeń narodowych kwestję żydowską. Przybrała ona charakter nieodwołalnego faktu psychicznego. Nie jest to już okres dyskusji i deliberacyj, lecz decyzja, rzecz przekazana do wykonywania.

Złymi psychologami są ci, którym się wydaje, że to napięcie woli, wyładowujące się nieraz w nieskoordynowanych odruchach, jest dziełem taktyki politycznej, że przez represje, stosowane do przywódców stronnictwa narodowego, uda się bieg rzeczy cofnąć. Jest to stanowisko charakterystyczne dla ludzi, którzy tej kwestii nie przeżyli wespół z narodem swoim. Nie mieli na to duszy, zajęci w międzynarodówce sprawami „ludzkości". Przeoczyli sprawy najbliższe.

Chciałbym dzisiaj pokazać, jaką drogę przebył ten proces dojrzewania sprawy żydowskiej w duszy polskiej w okresie ostatnich lat pięćdziesięciu.

Trzeba było paru pokoleń, aby dojrzała. Szlachcie niegdyś żydzi wydawali się potrzebni, nawet konieczni. Pewnego rodzaju odblask tego sentymentu widzieć można w mistyce poezji mesjanicznej, zamykającej złocistemi wrotami dobę minioną.

O żydach zaczęto myśleć realnie dopiero wtedy, kiedy myśl zwróciła się do ludu wiejskiego. Rzecz to bardzo znamienna i zalecająca się do głębszego przemyślenia, że sprawa żydowska jest odwrotną stroną medalu sprawy ludu.

Sfery górne społeczeństwa nie robią sobie z istnienia żydów żadnej kwestii; staje się ono kwestią dopiero w związku ze sprawą psychiki ludowej, przechowującej w czystości instykty rasy.

Sprawa żydowska w umysłowości polskiej posuwała się naprzód w ścisłym związku z akcją uświadamiania ludu w myśl haseł demokratyczno-narodowych. Dla tego dzisiejsze Stronnictwo Narodowe przybrało początkowo nazwę demokratyczno-narodowego i nosiło ją, dopóki nie zrealizowało się w życiu hasło nasze z przed tat 50: lud i naród to jedno.

Nie można być prawdziwym patriotą w stanie obojętności na sprawę ludu i sprawę żydowską; nie podobna być wiarogodnym moralistą w stanie obojętności na sprawę dobra i zła. Początki demokratyzmu narodowego były początkami polskiego nacjonalizmu. Nazwa demokratymu niezbyt ściśle odpowiadała istocie rzeczy, był to bowiem prąd, wcielający do narodu odcięte od życia historycznego warstwy ludowe, prąd demo-nacjonalistyczny.

— — — — — — — — — — — — — —

Opowiem państwu ciekawe zdarzenie z r. 1890. Wtedy to wchodziła na porządek dzienny dyskusji prasowej sprawa ludu i żydów. Nie sądzone jednak było rozstrzygać ją dyskutującej inteligencji; trwała 50 lat, a teraz kończy się... plebiscytem. Prawd życiowych niepodobna zamknąć w dialektyce, trzeba je zrobić, żeby się zrealizowały.

W owym roku 1890 gadała inteligencja. Przeważał szwargot żydowski; za śmiałka uchodził Polak, który żydom się przeciwstawił. Wyklęty był Jeleński za swoją „Rolę", od „Głosu", że krytyczne zajął w sprawie żydowskiej stanowisko, salony i gabinety stroniły; podejrzany był Bolesław Prus już przez to samo, że sprawę tę poruszał. Wielki ten pisarz, odczuwający, jak mało kto w Polsce, dramatyczność kwestii żydowskiej („Lalka"), w r. 1890 w szeregu artykułów usiłował znaleść ratunek w akcji, mającej na celu rozbicie masy żydowskiej skupionej w handlu przez rozmieszczanie ich po różnych klasach i zawodach. Ocali się może przez to równowagę struktury społecznej i pozwoli — tutaj komplement — zużytkować zdolności umysłowe żydów...

Takie postawienie sprawy było bardzo charakterystyczne dla owych czasów, oddających się złudzeniom co do możliwości asymilowania żydów.

To ugodowe i łaskawe stanowisko nie podobało się jednak żydom. Zareagował na nie „Przegląd Tygodniowy" A. Wiślickiego, będący przez długie lata wychowawcą pokolenia pozytywistycznego. Kwestia, w czyim ręku jest „Przegląd" była wówczas tak bardzo obojętna Polakom, iż nigdy do końca stulecia nie słyszałem, że Wiślicki był pochodzenia żydowskiego.

Jakiś pisarz żydowski rozprawił się w „Przeglądzie" z Prusem metodą „naukową", utrzymując między innemi nonsensami, że „większa część" polskich rodów szlacheckich jest pochodzenia żydowskiego. Prus w odpowiedzi na tę rozprawę pisał:

„Biedni my Polacy! Handel już mamy żydowski, Hirsch chce nam dać rzemiosło żydowskie, a pan etnograf z „Przeglądu" obdarował nas szlachtą żydowską. Że zaś niedawno jakiś hebraista dowodził, że Warszawa pochodzi od hebrajskiego wyrazu „Berszebe", więc mamy już kraj żydowski... Na szczęście pozostali nam jeszcze chłopi, no i parękroć sto tysięcy drobnej szlachty, z którą bogaci żydzi łączyć się nie mieli interesu, ona zaś z ubogimi łączyć nie miała potrzeby

Tak więc mój szanowny krytyk dowodzi: że rasa żydowska to przesąd i że „semici z całą łatwością stają się arjami", osobliwie zaś szlachcicami aryjskimi. Niema bowiem ani jednej takiej cechy dziedzicznej, któraby przeszkadzała semitom przyjąć całą aryjską kulturę, a nawet lekkomyślność...

— Wybornie! Gdyż w takim razie żydzi z całą łatwością mogą wziąć się do... rolnictwa i zostać np. aryjskimi chłopami.

— O nie — woła autor, - Żydzi mogą zostać polską szlachtą, ale chłopami — nigdy. Bo temu sprzeciwia się „naturalny dobór zajęć"... („Głos", 1890 nr. 1).

Takie to wtedy tematy nastręczała dyskusja polsko-żydowska. Szukano bezradnie, po omacku, ile że prasa, będąca w ręku żydów, teroryzowała opinię. Polacy wypowiadali się nieśmiało, większość prasy milczała ze strachu. To zaś co pisał „Przegląd" o stosunku do chłopów, ilustruje wyżej wyrażoną myśl moją, o instynktownej odrazie żydów do ludu wiejskiego i do świętej ziemi, tutaj bowiem leżą probierze rasy.

— — — — — — — — — — — — —

Entuzjaści asymilacji posuwali się dalej. Pod koniec tegoż roku 1890 słynny poeta Antoni Lange, który już sam przeszedł był na katolicyzm, ogłosił w petersburskim „Kraju" cykl artykułów p.t.

„Uwagi w sprawie żydowskiej". Wyszedł on z założenia, że dwa obce sobie społeczeństwa nie mogą żyć na jednem terytorium, więc proponuje zlikwidowanie żydostwa przez faktyczną asymilację, to znaczy przez małżeństwa mieszane. Znalazł nawet sposób praktyczny:

„W sferach inteligentnych — pisze Lange — związki mieszane są stosunkowo częstsze, ale daleko ważniejsze są one w sferach ludowych — i tu przesądy trudniejsze są do zwalczania. Zdaje mi się jednak, że możnaby było zwyczaj ten sztucznie wywołać.

Środek ten może wydawać się nieco fantastyczny, nie ma w nim jednak nic niemożliwego. Gdyby mi wolno było rozporządzać 12 miljonami barona Hirscha, dałbym im przeznaczenie takie: Zważywszy, że 12 miljonów złożone na 5% daje rocznie 600,000, dzielimy je na 600 udziałów po 1000 fl., ofiarując takowe na posag dziewczętom chrześcijańskim, wychodzącym za żydów i dziewczętom żydowskim wychodzącym za chrześcian. Daje to 600 małżeństw rocznie; zapał trwa lat 100, to znaczy 60,000 małżeństw. Licząc zaś np, 40,000 małżeństw dobrowolnych, otrzymamy po stu latach 100,000 małżeństw, co można uważać za rozwiązanie kwestji" („Głos" 1890, nr. 43).

Wcale tanio szacował duszę chłopa ten poeta, ale dobrze się stało, że bar. Hirsch nie dał mu tego funduszu. W 12 lat potem zjawił się w Polsce aryjski poeta „także katolik", który za warunek „Wyzwolenia" stawiał czystość rasy:

„Przedewszystkiem — mówił on — powinniśmy uszanować krew narodu i nie dać jej marnować... Nie powinniśmy pozwolić naszych kobiet obcym, tym obcym, którzy siedzą wśród nas... Nie mogę ścierpieć i znosić i słuchać, że kobieta Polka przeistacza dom męża obcego i czyni zeń dom polski. Czyni podłość, która się prędzej czy później odezwie w charakterze potomstwa... Wytwarza się tłum ludzi obojętnych dla naszego narodowego społeczeństwa, którzy go zaprzedają przez to, że o niczem nie myślą, że się prędko godzą z warunkami i że nie czują potrzeby zmiany. Powinniśmy przeciwdziałać i nie pozwolić marnować naszej krwi"...

I dodaje:

— ale to tylko może zrobić Polski rząd. Bo żaden inny naszych interesów, naszej krwi bronić nie będzie"...

Dziwnem echem obija się dzisiaj ten głos o mury Warszawy:

— Owszem, owszem — ale do Berezy nie łaska, panie Wyspiański?

Tak, to już był nacjonalizm. Na początku tego stulecia już rozumieliśmy, czem jest naród. Od tego czasu zagadnienie krwi dojrzało w duszy jednostek do stanu kompleksu psychicznego, któremu nie da rady żadne rozumowanie, największy nawet posag z funduszu bar. Hirscha.

— — — — — — — — — — — —

Tak, bo proces uświadomień szybko postępował — pomimo, a może i dla tego, że żydzi wzmocnili aparat wychowawczy masonerii i rzucili go na społeczeństwo z gwałtownem przeciwdziałaniem rosnącemu nacjonalizmowi.

Jeszcze w tymże r. 1890, który obrałem za podstawę porównań, „Głos", redagowany przez Popławskiego i J. K. Potockiego, zamieścił znakomitą rozprawę Witolda Ziemińskiego p. t. „Czem jest Izrael?" (nr. 33—42). Autor doszedł w tej pracy do wniosku:

„Kwestja żydowska nie jest zagadnieniem ani religijnem, ani ekonomicznem, ani narodowem — jest ona tem wszystkiem razem wziętem. Sprowadzic ją można do jednej kwestji: czy dwa odrębne typy mogą zamieszkiwać na jednem terytorium".

„Istnienie współrzędne dwu tak odrębnych typów niemożliwe jest do pogodzenia, jeden przeto typ musi albo pochłonąć drugi, albo wyeliminować..."

Rozprawa Ziemińskiego zrobiła wielkie wrażenie; sfery masońskie zwątpiły ostatecznie o „Głosie". Ale „Głos" miał już sukursy, acz nieśmiałe, ze strony tak poważnych publicystów, jak ten, który w miesięczniku Łaguny i Chmielowskiego w „Ateneum" podpisywał się literą K. Anonimem tym był cieszący się wielką powagą myśliciel (wyznawca Comte'a) ks. Fr. Krupiński, pijar. Pomimo różnych zastrzeżeń doszedł on do wniosku, że żydów do uprawy roli nikt nie zwabi i że asymilacja jest „mrzonką" (ob. „Głos" 1890, str. 277).

„Głos" nie zaniedbywał też przytaczania dyskusji, która się wówczas toczyła na Zachodzie. Między innemi poglądami czytelnik warszawski znalazł tutaj myśl Piccarda (Belgijczyka), który w odczycie stwierdził, że sprawa żydowska weszła już w stadium „p o l i t y k i d u s z", jako zagadnienie obrony cywilizacji (nr. 14).

Tak się też stało i w Polsce. Sprawa ściągnęła się do najrealniejszego fundamentu — do polityki dusz, do psychicznej konieczności rozwiązania.

— — — — — — — — — — — —

Z powyższych strzępów meldunku, który myśl polska składała w ostatniem pięćdziesięcioleciu, czytelnik zmiarkuje, że Polska przez ten czas nie była ciałem martwem. Myśl miała swoich laborantów i krążyła a dojrzewała. Nie była to tylko dyskusja. Zasługą naszego pokolenia jest, że ta myśl połączyła się jako jasna świadomość z pracą instynktów ludu i dojrzała w akcie woli. A odbyła się ta mobilizacja pod huraganowym ogniem zaczajonych pod każdym krzakiem demokratyzmu, humanitaryzmu i postępu — żydów i masonów. Dzisiaj, znalazły się te siły w defensywie i, ściągane na zgóry upatrzoną pozycję, tworzą — front „ludowy". Ta ludowość żydowska naszych czasów—to największe oszustwo, jakie się zdarzyło dziejom 20 wieków. Nie ma tam ludu, odrobiny narodu—motłoch w zaciągu żydowskim, z dziejów wykolejony, podżegany do walki o zatrzymanie w biegu dziejów narodowych. Wciągnięcie Stronnictwa Ludowego do tego frontu byłoby zbrodnią judaszową kręcących się koło tego stronnictwa masonów.

Może i dobrze się dzieje, że sytuacja się wyjaśnia. Właśnie o to chodzi, żeby ta lewica miała swój front na ławkach po lewej stronie, a naród żeby ostał po prawicy. Na ten model wszystko wewnątrz i na codzień sie podzieli.

Nie mają prawa występować przeciwko temu wydzieleniu *ghetta* ci maruderzy kultury politycznej, którzy w duszy popierają ideę „*folks*-frontu". Tyle lat drwili sobie z prawicy, że czyniła nietykalną świętość z podstawowych zasad prawa, które według nich są przecie, jako dzieło ludzkie, wartością względną, a teraz, gdy chodzi o uchwalenie regulaminu towarzyskiego, gdzie kto ma siedzieć na ławie szkolnej, wypowiadają wojnę.

Są bowiem politycy, którzy się uczą od narciarzy, jak ratować się od lawiny. Róbcie—radzą im—ruchy, jakbyście byli w wodzie, a wypłyniecie z lawiny i siądziecie jej na grzbiecie.

Lepiej jednak nie wywoływać lawiny, bo kto ją wie, jakby to było. A sprawy dojrzewające w psychice narodu są jak lawina.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

CZYJE SĄ MAŁOPOLSKA WSCHODNIA I WOŁYŃ?

We Lwowie odbyło się zgromadzenie obywatelskie z udziałem 1200 osób, na którem prof. St. Głąbiński wygłosił entuzjastycznie przyjęte przemówienie na temat w nagłówku tu podany. Wywody prof. Głąbińskiego w całej osnowie ogłosiła w grudniu r. ub. „Myśl Narodowa". Rozprawa ta wydana została naszem staraniem w broszurze.

Uchwalona na zebraniu rezolucja brzmi:

1) Zebrani w dniu 17 stycznia 1937 r. na zgromadzeniu publicznym obywatele miasta Lwowa stwierdzają, że Ziemia Czerwieńska wraz z zachodnim Wołyniem od najdawniejszych czasów historycznych stanowi niepodzielną własność narodu polskiego i obecnie jest ponownie jednolitą przynależnością Rzeczypospolitej Polskiej, przypieczętowaną krwią polską i traktatami międzynarodowymi, której nikomu nie wolno naruszyć ani podawać w wątpliwość.

2) Zebrani stwierdzają, że na ziemiach polskich działa grupa polityków tak zwanych ukraińskich, którzy w sprzeczności z tym stanem prawno-politycznym i ze swoimi obowiązkami konstytucyjnymi wierności dla Rzeczypospolitej Polskiej wyczekują nadejścia dla Polski niepomyślnej konjunktury międzynarodowej, aby ziemię naszą, którą już zawczasu bezprawnie mianują „ziemią ukraińską" wraz z innymi ziemiami polskimi, zamieszkałymi choćby w drobnej części przez lud ruski, oderwać od Rzeczypospolitej Polskiej na rzecz przyszłego państwa ukraińskiego i korzystają ze wszelkiej sposobności, aby już teraz osłabić siłę narodową, moralną i materialną ludu polskiego na tej ziemi, wiedząc o tym dobrze, że niewzruszoną podstawą bytu narodowego w każdym kraju jest posiadanie ziemi, duch narodu oraz jego siła kulturalna i gospodarcza.

3) Zebrani protestują przeciwko temu w imię powagi i Majestatu Rzeczypospolitej, aby jakiekolwiek sfery polskie, a zwłaszcza czynniki rządowe, wdawały się z ludźmi tymi w rokowania, aby zawierały z nimi układy pod pozorem rzekomej „normalizacji" stosunków ruskich na ziemiach polskich, albowiem rokowania takie i układy mieć będą w następstwie tylko pogłębienie zaborczych planów owej grupy i dalsze osłabienia polskości.

4) Zebrani protestują w szczególności przeciwko nowym koncesjom projektowanym przez referenta Komisji Budżetowej Sejmu dla zadowolenia owej grupy polityków ukraińskich, które zmierzają do stopniowego odebrania naszej ziemi charakteru kraju polskiego, a naszej wszechnicy lwowskiej charakteru polskiej instytucji naukowej.

5) Zebrani domagają się otoczenia ludu polskiego na tej naszej ziemi tak na wsi, jak w miastach troskliwą opieką moralną i materialną, zapewnienia w granicach prawa i postanowień statutowych wszystkim polskim towarzystwom, organizacjom narodowym, kulturalnym i gospodarczym, polskim urzędnikom i nauczycielom tak państwowym, jak prywatnym pełnej swobody w ich działalności, celem czynnego i bezinteresownego zaopiekowania się ludem polskim i celem przywrócenia w nim pełnego zaufania do Rzeczypospolitej Polskiej. Zebrani domagają się zadośćuczynienie słusznym potrzebom religijnym ludności polskiej przez przyznanie dotacji państwowej dla większej liczby parafij łacińskich oraz dla biskupów i kapituł łacińskich w Tarnopolu i Stanisławowie, na których kreowanie Kuria rzymska już 1923 roku się zgodziła.

6) Zebrani domagają się, aby przy dalszym wykonywaniu reformy rolnej i parcelowaniu obszarów dworskich, ziemia polskich właścicieli dostała się wyłącznie w ręce ludu polskiego miejscowego i osadników polskich, a to tem bardziej, że dotychczasowa parcelacja ziemi polskiej przeważnie w ręce niepolskie jest niczym nieusprawiedliwioną krzywdą dla państwa i ludu polskiego, będącego jedyną trwałą ostoją polskości i polskiej idei państwowej.

Przy parcelacji należą się ludowi polskiemu najdalej idące ulgi w podatkach oraz na rachunek Skarbu Państwa w cenie ziemi i materiałów budowlanych, jako częściowe wynagrodzenie spustoszenia i szkód wyrządzonych ludowi polskiemu w czasie wojny i okupacji ukraińskiej przez bolszewików i ukraińców.

7) Zebrani obywatele żądają: aby obowiązujące ustawy językowe z roku 1924 tak co do języka urzędowego i sądowego, jak co do wszelkich napisów, szyldów, odezw publicznych w języku polskim oraz do szkół polskich i utrakwistycznych były ściśle wykonywane i przestrzegane i aby położono kres ich ciągłemu naruszaniu.

8) Zebrani obywatele domagają się roztoczenia ściśłej kontroli nad pochodzeniem obfitych funduszów służących do wykupna polskich posiadłości miejskich i wiejskich z rąk polskich w ręce separatystów ukraińskich, a w szczególności nad nadużywaniem dla tych celów milionowych funduszów, przeznaczanych corocznie na podstawie konkordatu wyłącznie na dotacje dla duchowieństwa grecko-katolickiego.

9) Zebrani żądają również ścisłej kontroli państwowej nad bojowymi organizacjami ukraińskimi, nad pochodzeniem tysięcy rewolwerów i innej broni, znajdywanej przez organa policyjne u włościan ukraińskich, oraz nad nienawistną propagandą ukraińską, uprawianą w szkołach, w wojsku, na zgromadzeniach, obrzędach pogrzebowych i przy innych sposobnościach, zwróconą przeciwko państwu polskiemu.

10) Zebrani obywatele domagają się skutecznego zabezpieczenia ludu polskiego przed terrorem ukraińskim przez pociągnięcie w każdym wypadku do odpowiedzialności nie tylko sprawców fizycznych ale i moralnych, a pełnego wynagrodzenia wyrządzonych szkód materjalnych.

11) Na podstawie dokładnych wiadomości o położeniu ludu polskiego i sprawy polskiej na Wołyniu, zebrani obywatele domagają się, aby rząd położył stanowczo kres propagandzie ukraińskiej w tym województwie, zaszczepianej w szeregu lat ostatnich i szerzącej się w sposób niepokojący, wskutek tolerowania jej przez administrację miejscową. Wymaga tego utrzymanie polskości w tym nieszczęsnym kraju, ogołoconym przez rządy rosyjskie z licznej patriotycznej ludności polskiej, a jest to także warunkiem zabezpieczenia kraju od wpływów komunistycznych ze strony sąsiada wschodniego.

NAUKA i LITERATURA

„LES MYSTERES DE LA FRANC — MAÇONNERIE"

KSIĄŻKA ta, bogato ilustrowana, zawiera opis genezy i celu masonerii, jej organizacji międzynarodowej (ze szczególnem uwzględnieniem Francji), wyższych stopni, symboliki masońskiej oraz tajemnych ceremonij. Na zakończenie zawiera słownik żargonu masońskiego (zmieniają nazwy wielu przedmiotów) oraz tajemny alfabet. Co do genezy i celu organizacji, to autor bez wahania wskazuje na żydostwo jako naród-twórcę, któremu głównie zależy na jej istnieniu.

Masoneria jest pochodzenia żydowskiego, wskazują na to jej ryty, przysięgi i legendy. Mamy na to niezliczone dowody. I tak żyd Bernard Lazare, którego nikt o antysemityzm, ani o antymasonerię posądzać nie może, pisze: „Pewnem jest, że u kolebki masonerii byli żydzi, a mianowicie starzy kabaliści żydowscy, jak to dowodzą tego pewne zachowane ryty... Weishaupta otaczają żydzi; Martinez Paschalis, żyd pochodzenia portugalskiego organizował we Francji liczne grupy illuminatów i zwerbował wielu zwolenników. (*B. Lazarre l'Antisemitisme* p. 339—340).

Teologia masońska jest teozofią zaczerpniętą z Kabały. Rabin Izaak Wise ogłasza, że: „masoneria jest instytucją żydowską, której historia, stopnie, ryty, symbole i ich wytłumaczenie są od początku do końca żydowskie". („Żyd" 3.VIII 1855 r.) „Pierwszym czynem masońskim", czytamy w masońskim przeglądzie („Symbolizm" w 1928 r.) „będzie wysławiać rasę żydowską, która zachowała niezmienionym boski depozyt wiedzy. Przeto też oni oprą się na niej, aby wymazać granice..."

Mason Reverend S. Mc. Gawon mówi: „Masoneria opiera się na starej wierze Izraela... Izrael dał początek moralnemu pięknu, które jest podstawą masonerii". („Mason" 2.IV 1930 r.).

Wielki kabalista i okultysta, mason Doinel pisał „Działanie żydowskie, przenikanie żydowskie, nienawiść żydowska! Ileż to razy słyszałem masonów narzekających na panowanie, które żydzi narzucili lożom, systemom filozoficznym, zgromadzeniom i wielkim wschodom wszystkich państw"...

Wiele danych podaje również autor co do rozwoju masonerii światowej podając główne daty jej rozwoju (zaczynając niestety dopiero od 1717 r.)

Oto ważniejsze daty w rozwoju masonerii:

1717 r.—cztery loże tworzą wielką lożę Anglii w Londynie. 6.IV 1731 r. powstaje w. loża Irlandii. 15.X 1736 r. w. loża Szkocji. We Francji pierwsza loża powstaje w 1736 r., w. loża w 1773 r. (z niej powstał w. wschód francuski). Pierwsza loża niemiecka powstaje w Hamburgu 6.XII 1737 r. z niej wyszła w. loża niemiecka „Pod trzema globami". W Austro-Węgrzech powstaje pierwsza loża w 1727 r., w Pradze, w Wiedniu w 1742. W 1784 r. powstaje w. loża Austrii.

W. loża węgierska powstaje w 1886 r. Państwa skandynawskie mają ryt specjalny (Swedenborga). Pierwsza loża w Szwecji powstaje w Kopenhadze w 1743 r.; w Norwegii najstarsza loża w 1745 r.; w. loża Holandii powstaje w 1756 r.; w Belgii pierwsza loża w 1721 r.; w. wschód w 1832 r. W Rosji pierwsze loże powstają w 1732 r., lecz w 1822 r. zostają rozwiązane. Obecnie Rosjanie mają 8 lóż we Francji. W Polsce wielki wschód powstaje w 1784 r.; w 1818 r. pod zaborem rosyjskim było 30 lóż rozwiązanych w 1822 r. W 1921 r. polskie loże odżyły pod nazwą Wielkiej Loży Narodowej Polski.

Wielki wschód Italii powstaje w 1862 r., Hiszpanii w 1870 r., Luzitanii w 1869 r., Grecji w 1868. Wielka loża Czechosłowacji powstaje w 1923 r., Jugosławii (w Belgradzie) w 1919 r. W. wschód Turcji w 1908 r. Od 1880 r. Rumunia cieszy się łaską masonerii.

W Ameryce Północnej, Środkowej i Południowej masoneria rozrosła się bardzo szybko. Wielkie loże datują się z 1733 i 1735 r. W 1850 r. było w Stanach 28 wielkich lóż obecnie jest ich w Stanach 50, a 9 w koloniach. Masonów w Stanach jest przeszło 3 miliony; w 30 Stanach istnieją loże murzyńskie.

W Ameryce środkowej (Meksyk, Kuba, Haiti, Porto-Rico, Costa-Rica, Nicaragua i t. d.) jest 25 wielkich lóż i 40,000 bardzo czynnych masonów. Również są liczni masoni w Ameryce Południowej. W Afryce prócz różnych lóż zależnych od Europy są dwie wielkie loże niezależne.

W Oceanii pracuje 7 grup masońskich od wielu lat; pierwsza loża w Adelaidzie w Australii powstała w 1884 r.

Po omówieniu roli masonerii międzynarodowej, przystępuje autor oo omówienia roli masonerii francuskiej i jej stanu we Francji. Masoneria francuska dzieli się według niego na cztery główne części:

1) Wielki wschód (1736 r.) posiadający 460 lóż niebieskich, 90 kapituł (różokrzyżowców) i 43 rady (rycerza Kadosch). Ogółem 32,000 czynnych członków.

3) Ryt szkocki (wielka loża francuska 1821 r.) posiada 220 lóż i 16,000 członków.

3) Masoński ryt „*Le droit humain*" (1892 r.) posiada 73 loże, 7 kapituł i 1 aeropag.

4) Wielka loża narodowa niezawisła i regularna dla Francji i kolonij (1913 r.) posiada 29 lóż błękitnych, 3 loże instruktorskie, 7 kapituł i 15,000 członków.

Pozatem istnieje jeszcze kilka drobnych rytów (jak Mizraim, martyniści i t. d.) Po omówieniu wewnętrznej organizacji tych rytów, opisuje autor wyższe stopnie masońskie, ceremonje, przysięgi, symbole i bluźniercze ceremonje. Całość kończy słownik żargonu masońskiego oraz tajemny alfabet.

Podnieść należy, iż książka ta, jak rzadko która, silnie bije w fakt, iż mimo pozorów niezależności i różnorodności masoneria podlega jednej tajnej władzy, w której rękach jest ślepem narzędziem. „Mniej przez liczbę swoich członków, ale raczej przez międzynarodową potęgę najwyższych i ukrytych władców, masoneria wywiera swój wpływ w świecie i ważną jest rzeczą poznać znaczenie ich rzeczywistych zdobyczy.

Każdy z jej członków jest ślepym i nieświadomym agentem, który wykonywa otrzymane nakazy i naokoło siebie prowadzi propagandę pomiędzy profanami. I idzie on w teren nie mówiąc nic, że ma wielu towarzyszów, że rozsiewa nakazy wielkiego Sanchedrynu żydowsko-masońskiego i należy stwierdzić, że teren ten od dwudziestu lat nie zacieśnia się, ale przeciwnie rozszerza się w niepokojących rozmiarach".

Dalej stwierdza autor, że istnieje jednolita tajna władza masońska, luźne grupy masonerii są po to, aby móc mieć w swym ręku więcej ludzi. „Te rozsypane odłamki są jakby kością pacierzową szkieletu. Jednolitość budowy, którą odsłania badanie, wystarcza do wskazania jednego i tego samego twórcy. Z drugiej strony stwierdzone działanie wskazuje na istnienie organów je wykonywujących, a działanie znów wskazuje na istnienie bytu, któremu zależy na danem działaniu. Tym bytem tajemnym, który do dziś pozostał niewidocznym, wyłącznie dzięki organizmowi, który umyślnie i całkowicie wytworzył w tym celu, jest byt który nazywamy „Władzą tajemną".

Premier angielski żyd, Dizraeli, powiedział pewnego dnia: „Ludzie piastujący władzę w naszym wieku nie służą tylko rządom, cesarzom, królom i ministrom, lecz także tajnym związkom, czynnikom, z którym trzeba się liczyć. W ostatniej chwili mogą one unicestwić wszystkie układy. Mają one agentow wszędzie, agentów, którzy morduj bez żadnych skrupułów i mogą, jeśli one tak nakażą w danym wypadku spowodować rzezie".

„Światem rządzą zupełnie inni ludzie, o których się nie ma wyobrażenia, dopóki nie zajrzy się za kulisy". A tymi ludźmi jest, według wyznania Ratheneau, 300 żydów.

A. P.

NAGRODY LWOWSKIE

Nagrodę literacką m. Lwowa otrzymał w tym roku Edward Porębowicz, em. prof. romanistyki na uniw. lwowskim.

Należało się to odznaczenie zasłużonemu badaczowi i poecie. Porębowicz, urodzony w Warszawie 1862 r.; ukończył uniwersytet w Krakowie w r. 1883, poczem kształcił się zagranicą. Doktorat złożył w r. 1890 w Wiedniu. Na uniw. lwowskim wykładał od r. 1897.

Jedną z pierwszych prac jego było studium o Andrzeju Morsztynie (1893). W wyd. zbiorowem (Warsz. 1893—97) „Dzieje literatury powszechnej" zamieścił dzieje literatury włoskiej XV—XVIII wieku, oraz dzieje lit. francuskiej, hiszpańskiej i portugalskiej XVIII w. W r. 1899 ogłosił pracę o św. Franciszku z Assyżu, w 1921 o Dantem.

Przełożył „Don Juana" Byrona, dramaty Calderona, pisma Leopardi'ego, „Boską Komedię" Dantego, poezje prowansalskich trubadurów, pieśni ludowe celtyckie. Przekłady Porębowicza mają niepospolitę wartość, łączą bowiem w sobie naukowość z polotem poetyckim.

Nagrodę m. Lwowa za prace historyczne przyznano jednomyślnie zasłużonemu badaczowi dr Fryderykowi Papeé'mu.

Fryderyk Papée urodził się we Lwowie w 1856 r. Studia odbył na uniw. lwowskim i wiedeńskim. Od r. 1895 pracuje w Bibliotece uniwersyteckiej we Lwowie.

Jako uczony historyk jest jednym z najlepszych znawców epoki jagiellońskiej. Z prac jego zasługują na uwagę najważniejsze: „Polska i Litwa na przełomie wieków średnich" (1903), „Studia i szkice z czasów Kazimierza Jagiellończyka" (1907), „Skole i Tucholszczyzna" 1891), oraz Historia miasta Lwowa w zarysie, napisana w r. 1884 jako praca konkursowa. W roku ub. wydał monografię o Janie Olbrachcie i przygotował do druku monografię o Królu Aleksandrze. Członek Pol. Akademii Um. bierze żywy udział w jej wydawnictwach, przygotowując „*Acta Aleksandrii Regis Poloniae*" (1927), oraz w „Historii politycznej Polski" (okres od 1429—1506)

Nagrodę im. Dybowskiego za prace przyrodoznawcze przyznano prof. Rudolfowi Weiglowi.

Dr Rudolf Weigel, prof. zwyczajny biologii ogólnej uniw. Jana Kazimierza we Lwowie, urodził się na Morawach w r. 1883. W r. 1907 promował się, zaś w r. 1913 zostaje docentem zoologii, anatomii porównawczej i histologii.

W r. 1920 powołują go na profesora zwyczajnego biologii ogólnej na wydziale lekarskim uniw. Jana Kazimierza.

RUCH WYDAWNICZY

Jako odbitka z „Myśli Narodowej" ukazała się w w większej ilości egzemplarzy broszura prof. uniw. lwowskiego Stanisława Głąbińskiego „Sprawa Ruska na Ziemi Czerwieńskiej (str. 64).

Publikacja powyższa tak znakomitego znawcy przedmiotu stanowi bardzo poważną pozycję w naszej literaturze politycznej. Śmiało rzec można, że jeśli kto — to Głąbiński wskazany jest dla Polski, jako arbiter w sprawie polsko-ruskiej.

Książka ta oddana będzie na skład głowny Nar. Organizacji Kobiet we Lwowie (Rynek 9). Można ją też będzie nabywać w admin. „Myśli Narodowej. Cena jeszcze nie ustalona.

Oto w tym roku ukazują się dwie już książki wydane staraniem „Myśli Nar." Druga to książka prof. R. Rybarskiego „Program gospodarczy". Wartość czasopisma mierzyć trzeba tem, czy ogłasza prace, mające dla narodu znaczenie programu.

*

Chiny są tym krajem, o którym mało się u nas mówi—chyba w powiązaniu z ekspansją Japonii. Olbrzymi labirynt prowincyj o mnogich rasach i odmianach kulturalnych, kolos rozbity w waśniach dzielnicowych istnieje w naszej świadomości raczej jako wielka plama na mapie, obszar nieznany, zamieszkiwany przez małych żółtych ludzi, których trudno odróżnić od Japończyków. A przecież jest to najstarszy naród na świecie, o starożytnej i bogatej kulturze, Grecja dalekiego wschodu wobec japońskiego Rzymu, z tą tylko różnicą, że owa Grecja trwa nieprzerwanie od tysiącleci. Wojska poszczególnych kacyków prowincjonalnych plądrują kraj, ale za murami odwiecznych zamków rodzinnych przechowują się od dziesiątków pokoleń tradycje, których żadne zmiany polityczne nie zdołały obalić.

Za te mury wprowadza nas niezwykle interesująca książka Nory Waln. wydana niedawno w polskim przekładzie (Nora Waln: „Dom na wygnaniu". Warszawa, 1936. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Str. 287). Młoda Amerykanka, której rodzina utrzymywała niegdyś długotrwałe stosunki handlowe z jednym z najstarszych rodów chińskich, spędziła szereg lat w jednem z owych miast-zamków, gdzie została przyjęta jako córka i brała udział we wszystkich uroczystościach i obrzędach narówni z przybranymi krewnymi. Poślubiwszy potem Anglika, będącego na służbie chińskiej, była naocznym świadkiem rewolucji wywołanej przez ścieranie się wpływów sowieckich z japońskiemi, a także młodego pokolenia, wychowanego na zachodzie ze starem, tradycyjnem. Autentyczność tej książki, sięgająca tak głęboko w życie opisywanego kraju, czyni z niej nietylko bardzo interesującą, ale także bardzo pouczającą lekturę. Nikt, komu nieobojętne są sprawy rozwoju kultury narodowej, nie może też przejść obojętnie obok obrazu kultury narodu trwającego nieprzerwanie od tysięcy lat. Ośmieszane niejednokrotnie przez nas chińskie ceremonie, to przecie nic innego jak tylko wyrafinowanie form społecznego współżycia bardzo starego narodu.

Chiny muszą nam imponować kulturą osobistą swych ludzi, którzy osiągnęli *maximum* opanowania woli i namiętności, podporządkowania się sprawom społeczności, pogardy dla pieniądza przy jednoczesnej umiejętności operowania nim jako czynnikiem potęgi. Jest to kraj, w którym rodzina, uważana przez nas za podstawę zdrowego narodu. jest istotnie tego narodu podstawą. I jeżeli różnice rasy i religii każą nam z dużą ostrożnością czerpać nauki z doświadczenia innych (należałoby to podkreślić szczególnie mocno wobec ślepego często u nas zapatrzenia na formy japońskie bez istotnej znajomości tego kraju), to z drugiej strony z nauki tej, z powodu owych różnic, nie można rezygnować zupełnie. Książka Nory Waln może tu oddać duże usługi jako rozszerzająca nasze wąskie horyzonty i zwracająca zainteresowania w nowym, bogatym w doświadczenia kierunku. (A. M.)

*

Agnieszka Dobrowolska. „Wzory Hafciarstwa Ludowego na G. Śląsku". Katowice 1936. Wyd. Instytutu Śląskiego.

Strój ludowy zanika, i rzetelną zasługą kilku miłośniczek zdobnictwa ludowego było zbieranie i przechowywanie motywów odzieży kobiet wiejskich w powiatach: katowickim, świętochłowickim i tarnogórskim szczególnie z okolic Siemianowic i Pszczyny. Pani Dobrowolska, współautorka studium A. i T. Dobrowolscy „Strój, haft i koronka w województwie śląskiem", wydała obecnie, z przedmową, album reprodukcji tych najbardziej charakterystycznych ornamentów. Hafty o oryginalnie skomponowanych motywach roślinnych i kwietnych, motywy hafciarskie z fartuchów, kabatków, zapasek i chust, koronki u czepca, krezy, narożniki chust, układy pasowe, róże kwiatki modre, różowe i czerwone, listki, okazują bogactwo ludowej fantazji.

Nie zawsze bezpośredniej.

Rzecz ciekawa, że badanie pochodzenia i stylu takich utworów jak haft i koronka nasuwa ścisłe wnioski z historii, z historii obyczajów i mody. Na temat jednego z reprodukowanych w albumie haftów, pisze autorka „jest to haft stosunkowo świeżej daty i nie przekracza naogół początków XIX wieku. Nadto jest to haft pochodzenia miejskiego. Owe girlandy, kwiatki, listki, które są typowe dla zdobnictwa miejskiego epoki biedermeyerowskiej czy Ludwika Filipa.

Wystarczy przejrzeć żurnale paryskie z tego okresu, by zauważyć łudzące wprost podobieństwo między ornamentem miejskim a ludowym. Jak przedostały się te żurnale na wieś? Działo się to zapewne za pośrednictwem szkoły czy dworu, podobnie jak to ma miejsce i dzisiaj.

Inny odrębny styl ma zdobnictwo stroju kobiecego w powiecie pszczyńskim, pokrewny haftom wielkopolskim i krakowskim i wykazujący reminiscencje baroku.

„Wzory" podane w reprodukcjach przejrzystych, omówione fachowo, „celem ich popularyzacji i skutecznej walki z naporem przemysłu fabrycznego", stanowią nowy wartościowy przyczynek do kulturalnej działalności Instytutu Śląskiego. (A. W.)

TEATR

„KSIĘŻYC W ŻÓŁTEJ RZECE“

TEATR Narodowy wystawił trzyaktową sztukę Denisa Johnstona p. t. „Księżyc w żółtej rzece”, w przekładzie Floriana Sobieniowskiego. Śpieszyliśmy ną tę premierę z wielkiem zainteresowaniem. Tytuł pozwalał spodziewać się widowiska poetycznego. Irlandia to w naszem mniemaniu kraj bardzo poetyczny. Przypuszczaliśmy, że sztuka Johnsona owionie nas czarem jego ojczyzny. Widowisko sprawiło nam zawód. Autor uczęstował nas zupełnie czemś innem, niżeśmy się spodziewali. Pokazał nam sztukę zgoła niepoetyczną. Ani śladu fantastyki. Ani śladu legendarnych uroków Zielonego Erynu. Rozdzierająco smutne studium społeczno-obyczajowe w kształcie dramatycznym. Malowidło wewnętrznych stosunków politycznych Irlandii, obraz rozterek, szarpiących ów kraj, wykonany w ten sposób, że niepodobna nam profanom się zorjentować, czy mamy do czynienia z utworem patrioty srodze nad stanem swojej ojczyzny bolejącego, czy też z produktem cynicznego kpiarza, usiłującego w oczach Europejczyków naród swój wyszydzići zohydzić. Sami lubimy narzekać na nasz charakter narodowy i w dziełach sztuki uwydatniać nasze wady, ale takiego samochłostania się i samoopluwania, jakie widzimy w sztuce Johnstona nie znajdziemy chyba w żadnej literaturze świata poza literaturą rosyjską. Zielony Eryn, pokazany nam przez pana Johnstona, jest krainą raczej wschodnią, niż zachodnią. Egzotyzm irlandzki wydaje się nam dziwnie podobny do egzotyzmu rosyjskiego. Pokazani na scenie rewolucjoniści przypominają nam w sposób zadziwiający rewolucjonistów rosyjskich z epoki przedbolszewickiej. Konsumpcja alkoholu na scenie, nie mniejsza niż w sztukach rosyjskich—zwiększa znakomicie to podobieństwo. Kto wie nawet, czy w gruncie rzeczy, Rosja nie jest sympatyczniejsza od tej straszliwej barbarji, którą nam w utworze swoim pokazał p. Johnston.

Jeżeli zamiarem autora było wzbudzenie współczucia dla jego ojczyzny u widzów cudzoziemskich, to zamiar ów całkowicie chybił. Z nieszczęściami tego narodu, który nam pokazano na scenie, współczuć niepodobna. Ale powtarzam: w intencjach autora zorientować się Bogu ducha winnemu warszawiakowi, jakim jestem, niezmiernie trudno. Kto go wie, tego Johnstona, czy nie zamierzał poprostu rodakom swoim ile wlezie naurągać poufnie, nie przypuszczając zgoła, że ktoś wpadnie na pomysł przetłumaczenia tego utworu na język polski i wystawienia go w warszawskim teatrze Narodowym.

Mogę tylko stwierdzić, że „Księżyc w żółtej rzece” sprawia na mnie wrażenie bardzo niesympatyczne. Czy jest sztuką dobrą, czy złą—tego ocenić się nie podejmuję. Być może, iż sztuka p. Johnstona jest utworem znakomitym, ale zalet jej i wartości teatralny widz warszawski tak samo nie dostrzega, jak widz, dajmy na to dubliński, nie dostrzegłby najprawdopodobniej, olbrzymich walorów poetyckich „Wesela” Wyspiańskiego. Nie jest jednak rzeczą wyłączoną, że „Księżyc w żółtej rzece”—to tylko teatralna bomba, naładowana taniem efekciarstwem i dająca aktorom pole do niemiłosiernego zgrywania się.

Pan Damięcki skwapliwie skorzystał z tej okazji i stworzył typ rewolucjonisty irlandzkiego, wzorowany na kreacjach pijaków Karola Adwentowicza. Od stylu gry p. Damięckiego korzystnie odbijał tym razem styl gry pana Sochy w roli strażnika porządku. Nie mogliśmy ani rusz uwierzyć, że pani Solska jest rowerzystką i łyżwiarką. Poza tem jednak, znakomita artystka potrafiła z niestosownej dla niej roli wydobyć bardzo wiele momentów wzruszających. Panowie Dominiak i Łapiński interesująco grali parę wilków morskich. P. Woskowski dobrze udawał Niemca. P. Buszyński, p. Karpiński, p. Kawińska i p-na Barszczewska również znaleźli okazję do wygrania się.

S. J. G.

DATA PREMIERY „CYDA”

W PRZEDOSTATNIM numerze paryskiej „*Illustration*“ p. Jean Monval, archiwista-bibliotekarz Komedii Francuskiej ustala datę pra-premiery Kornelowego „Cyda“, która wbrew twierdzeniu braci Parfait, zawartemu w napisanem przed stu laty dziele p. t. „*L'Histoire du ihéâtre français*“ i uchodzącemu do tej pory za pewne, odbyła się nie w końcu listopada 1636 roku, lecz 2 stycznia, w piątek, 1637 roku.

„Cyd“ został odegrany po raz pierwszy w teatrze „*du Marais*“, którego dyrektorem podówczas był sławny aktor Mondory. Sztukę przygotowywano bardzo starannie. Próby odbywały się przez cały miesiąc grudzień. Szyto wspaniałe kostiumy. Reklamowano zręcznie widowisko na mieście i na dworze królewskim, podniecając ciekawość publiczną. Mondory otrzymał Kornelowy rękopis już w listopadzie, ale nie mógł wystawić sztuki przed Bożem Narodzeniem ze względu na adwent.

Aktorzy w owej epoce obserwowali bardzo ściśle święta, posty i wogóle obyczaje chrześcijańskie. Jeden z autorów ówczesnych, Samuel Chappureau pisze o aktorach, że uczęszczają oni pilnie do kościołów na nabożeństwa niedzielne i świąteczne i nie odgrywają komedyj przed zakończeniem nabożeństwa, które, jak wiadomo, rozpoczyna się nieszporami w dniu poprzedzającym święto (w wigilię), kończy zaś dopiero po drugich nieszporach dnia następnego. Podczas świąt szczególnie uroczystych i podczas dwu tygodni w wielkim poście zamykano teatry.

Z tego powodu Mondory musiał odłożyć premierę „Cyda” na okres po Bożem Narodzeniu. W owych czasach aktorzy grywali tylko trzy razy na tydzień: we wtorki, piątki i niedziele. W wyjątkowych tylko okazjach dawano przedstawienia w mniej uroczyste święta.

„Pierwsze przedstawienia nowej sztuki—pisze wzmiankowany wyżej Samuel Chappureau w swojem dziele o teatrze francuskim, wydanem w roku 1674 — dawane bywa zawsze w piątek”.

W r. 1636 Boże Narodzenie wypadło we czwartek. Mondory nie chciał dawać spektaklu w drugi dzień świąteczny i odłożył go o tydzień, do piątku następnego. Zarówno król i królowa, jak i kardynał Richelieu, spędzali święta poza Paryżem. Dwór wrócił do miasta dopiero w przeddzień nowego roku. Wpłynęło to niewątpliwie również na odroczenie premiery do dnia 2 stycznia.

FILM

COLOSSEUM: „Amerykańska awantura”, reżyser K. Ordyński.

Mimo zewnętrznego europejskiego poloru film ten rychło odsłania przed nami swą piętę Achillesa. Jest jak człowiek nieźle wychowany, ale nudny. Niejednokrotnie wskazywaliśmy na niedostatki filmów krajowej produkcji. Jedną z najczęstszych wad stanowi niewytrzymanie całości, puste miejsca w scenarjuszu, łatane czem się da. I jednocześnie obok nich nieraz zupełnie możliwe fragmenty.

Tu niema tej nierówności; ramy filmu zostały wypełnione dość jednolicie. Ale jednocześnie „Amerykańska awantura” cierpi na wyraźną anemię dowcipu. Nietylko brak jej zabawnych, filmowo pomyślanych, momentów, niema ona także na lekarstwo dowcipu sytuacyjnego, tego rodzaju, jaki z powodzeniem może stosować komedia filmowa i teatralna.

A okazja potemu była. Jazda bohatera filmowej opowieści do Ameryki na gapę, naszym statkiem m. s. „Batorym”, dawała wdzięczne pole do popisu inwencji reżyserskiej i można to było pomyśleć bardzo zabawnie.

W tych okolicznościach rzadki śmiech na widowni budziły jedynie rozmaite „gierki“ aktorskie. Najlepiej stosunkowo wypadła część środkowa filmu, dzięki statkowi, który jako tło optycznie był najciekawszy. Należało tylko—skoro już film miał mu robić propagandę — pokazać mimochodem i wnętrza okrętu, gdyż ich artystyczny poziom zawdzięczamy naszym plastykom.

W głównych rolach: Ćwiklińska, Nakoneczna, Bodo, Znicz i Sielański.

Pani Jarszewskiej, rasowej aktorce starszego pokolenia, nietaktowny reżyser powierzył b. niesmaczną rólkę.

KANDYD

DYSKUSJE

CZY RZECZYWIŚCIE KONFLIKT?

W JEDNYM z ostatnich numerów poznańskiej „Kultury" p. Eugeniusz Januszkiewicz napisał spory rozmiarami artykuł wstępny z okazji wydania tomu listów pasterskich J. E. Kardynała Prymasa Hlonda. Artykuł w swem pierwotnem zamierzeniu 'miał być „recenzją" (!) tych listów. W wykonaniu mało taktowny zamiar stał się tem, czem być powinien: próbą rozważań nad treścią prymasowych zaleceń. Tak się jednak stało, że linia wywodów autora artykułu idzie akurat w odwrotnym kierunku, aniżeli intencje zawarte w wydanym tomie. P. Januszkiewicz przyznaje, podkreśla, że „...zagadnieniu (stopienia w jedno Polaka i Katolika), choć nie zawsze z nazwaniem po imieniu, w lwiej części są poświęcone listy pasterskie Prymasa Polski...", sam zaś, mimo wszystko, uwypukla rzekome konflikty zachodzące pomiędzy wiernością służby Bogu a wiernością służby Narodowi.

Słusznie przytoczono cenne i najprawdziwsze żdanie twierdzące, iż „...tkwimy w początkach dziejowego posłannictwa polskiego katolicyzmu". Ze zdaniem tem nie tylko, że się zgadza cały ruch narodowy polski, ale więcej — jest ono fundamentalnem założeniem tego ruchu. Pojęcie „polskiego katolicyzmu" kojarzymy ściśle ze związaniem całkowitem doktryny katolickiej z doktryną nacjonalizmu a owo ścisłe związanie jest zarówno tryumfem katolicyzmu, tej wiary cudownej, co to w każdym czasie i w każdem cywilizacyjnem środowisku potrafi być czemś wiecznie młodem, nad wyraz współczesnem, aktualnem, jak jest zarówno tryumfem naszej myśli politycznej, która pierwsza potrafiła zespolić zjawisko nacjonalizmu z pismami i kanonami Kościoła Inny jest przecież nacjonalizm sowiecki na materialistycznej. doktrynie Marksa (jeszcze!) oparty, inny jest nacjonalizm hitlerowski, pogański nawskroś nie nawracaniem do bóstw starogermańskich, ale kultem jedynym Niemiec i niczego więcej, inny jest wreszcie nacjonalizm 'włoski, zawierający pakty formalne z Watykanem z racji dążenia do zespolenia politycznego wszystkich Włochów i z racji uznawania pożytecznej roli religii w kształtowaniu moralnem narodu. Nasz katolicyzm nie posiada charakteru utylitarnego; cenimy go i dla tego, że zdrowa rodzina da zdrowe potomstwo, dobre matki i tęgiego żołnierza, ale nie wyłącznie dlatego. Chrystus jest naszą istotną potrzebą. Niepotrafimy żyć zarówno bez Chrysłusa jak i Polski. Imię Marii jest dla nas słodkie i imię Polski jest dla nas słodkie, a życie bez smaku tej słodyczy wydaje się nam goryczą niezmierną, jakiemś kalectwem, nocą duszną. Takie to wszystko proste!

Ale p. Januszkiewicz w oficjalnym organie „Akcji Katolickiej" wyszukuje sprzeczności, a wyszukawszy je pokazuje wszystkim i omawiając następnie stwarza niepotrzebnie fałszywe sugestie. Np. ten szczegół:

„Komisja „*Pro Russia*", ku oburzeniu wielu, jako placówkę wypadową obrała wschodnie połacie Polski. Wprawdzie realizacji tego posłannictwa sprzeciwia się wielu i dziś jeszcze, ale to są ci, którzy nie są zdolni wybić się poza dzień dzisiejszy, ani nie rozumieją pojęcia imperializmu kulturalnego".

To nieprawda. Działalności komisji „*Pro Russia*" w jej dzisiejszej postaci sprzeciwiają się i ci, którzy posiadają zdolność wybijania się polityczną wyobraźnią poza dzień dzisiejszy napewno nie mniejszą, aniżeli autor omawianego przezemnie artykułu. Rozumieją doskonale pojęcie imperializmu kulturalnego, więcej — potrafią nawet wiązać imperializm kulturalny z imperializmem militarnym, bez żadnych wewnętrznych kolizji z sumieniem katolickiem; postacie krzyżowców tak nam są bliskie!

„Owe ciągłe konflikty wewnętrzne pomiędzy niewzruszonymi wymogami katolicyzmu, a „oczywistemi" koniecznościami potrzeb narodowych, czy też racji stanu. Konflikty pomiędzy tem, co jest wieczne, a więc ma czas i tem co doczesne, a więc czasu niema i musi się spieszyć, nerwowo zdobywać piędź po piędzi w ciągłej obawie, że jutro może być za późno, że jutro ten grunt, na którym dziś się tak twardo stoi, zapłonie jakimś niespodziewanym i niedoopanowania pożarem. Biorę pierwsze lepsze zagadnienie z brzegu".

Wciąż i uparcie. Uparcie — „Owe ciągłe konflikty wewnętrzne. ." Jakie? Jest odpowiedź: „Biorę pierwsze lepsze zagadnienie z brzegu" — pisze p. Januszkiewicz i porusza... kwestię żydowską.

Przedewszystkiem nie jest to wcale znowu sprawa „pierwsza lepsza". P. Januszkiewicz nie wybrał jej napewno systemem „na chybił trafił", ale wydłubał starannie i z pewną satysfakcją (niechaj mi wybaczy—odniosłem takie wrażenie) podał do wiadomości. Poczem patos tragicznego żalu.

„Nieunikniony konflikt Polaka z katolikiem, konflikt tem tragiczniejszy, że rozgrywający się na terenie wewnętrznym każdego poszczególnego człowieka. Takich „konfliktów" jest więcej. Rwiemy się do realizowania posłannictwa polskiego katolicyzmu. Trzeba jednak pierwej załatwić to wewnętrzne rozdwojenie osobowości na Polaka i katolika. Jeśli posłannictwo katolicyzmu polskiego ma być kiedyś zrealizowane, to te dwie, rozczepione niestety dziś jeszcze, wartości muszą w obrębie każdego człowieka zlać się, zespolić w całość bez rys".

Mimo zacytowania listu pasterskiego mającego unaocznić niewątpliwy konflikt między katolikiem i Polakiem w sprawie rozwiązywania kwestii żydowskiej oświadczam w swojem imieniu, oraz w imieniu tych, z którymi współpracuję na polu walki ideowej, że i tu nie wyczuwamy wewnętrznego rozdwojenia osobowości. Wcale. Nawet w tej kwestii „pierwszej lepszej z brzegu"..

A już za niedopuszczalny ogólnik uważam rzucanie słów, iż „takich konfliktów" jest więcej. Doprawdy? Proszę je wyliczyć. Trudno?—Wierzę, że trudno.

Powiedziałem, że wszystko, cały sposób naszego myślenia i odczuwania jest taki prosty. Być może, przyznaję, iż prostota owa stanowi w niejednym wypadku wynik radosny zmagań wewnętrznych i walk W niejednym wypadku, ale nie w zasadzie. Tych, co to przeżywali konflikty, zmagali się z sobą, tych wyprowadzał na właściwą drogę chociażby ów świetny oficer Psichari, poległy w Szampanii r. 1914 z różańcem w ręku. Ci, którzy uniknęli nawet najmniejszych wahań i konfrontacji z sumieniem wiedzieli, że z różańcem w ręku umierali od setek lat na polu bitwy wszyscy Polacy. Takie—powtarzam—proste. Takie proste p. Januszkiewicz!

Rozumiem, że zapatrzenie się na obce nacjonalizmy mogło nasunąć podobne myśli, jakie uważał za właściwe umieścić w artykule wstępnym „Kultury" jego autor. Idę dalej—rozumiem nawet, że i nasz nacjonalizm mógł nasunąć pewne zastrzeżenia, które ujęto w jaskrawą formę wytykania konfliktów pomiędzy osobowością Polaka i katolika, ale po pierwsze: mimo, iż zjawisko nacjonalizmu jest powszechne, jest on w swym wyrazie wszędzie inny, po drugie, jeśli idzie o naszą myśl narodową, to trzeba widzieć, jak się ona otrząsa z resztek pozytywistycznego poglądu na świat, którym kiedyś mocno nasiąkła. Trzeba c h c i e ć widzieć.

Często się spotykałem z tego rodzaju sformułowaniami: n i e m o g ę z r o z u m i e ć, w j a k i s p o s ó b m o ż n a p o g o d z i ć... i t. d. Ja sam staram się zabierać wyłącznie głos o tych zjawiskach, które—jak jestem przekonany—rozumiem, albo, jeśli znajdują się one poza sferą myśli, to w które wierzę. Radzę najserdeczniej i innym ten system. Jest niezawodny i nie stwarza okazji do nieporozumień. Chyba, że są one celem, polityczną intencją.

JAN BAJKOWSKI

POKŁOSIE

JAK SIĘ ROBI REWOLUCJĘ

WEDŁUG dawnej koncepcji rewolucja był to nagły wybuch gniewu ludu, gniewu, który długo się gromadził i dojrzewał, aż w pewnym momencie, czasem z błahego powodu wybuchał, zrywał wszystkie tamy ustanowionego porządku rzeczy. Zjawiali się oczywiście na scenie przywódcy, ale działo się to jakoś przypadkowo, poprostu fala wyrzucała na wierzch jednostki wyjątkowo uzdolnione i one brały w ręce kierowanie całym ruchem.

Dziś ta koncepcja nikomu już do przekonania nie przemawia, historia wykryła bowiem, aczkolwiek powoli i z trudem, tajne sprężyny, jakie tym gniewem ludu kierowały. Wiemy dziś, że lud zwykle wcale się nie gniewał i trzeba było w wielu wypadkach ten gniew dopiero mu wmówić. Gniewali się zań różni ideolodzy i doktrynerzy, a wybuchy nie następowały bynajmniej spontanicznie, lecz były starannie i umiejętnie przez długi czas przygotowywane, a role przywódców zawczasu rozdane.

Tak było sto pięćdziesiąt lat temu, jest więc rzeczą zupełnie naturalną, że od tego czasu kunszt robienia rewolucji znacznie się wydoskonalił, tymbardziej, że ustaliło się w Europie potężne ognisko, które postawiło sobie za zadanie wywrócenie ustroju w całym świecie. Byłoby dziwne, gdyby doświadczenia, zebrane w tej sali Smolnego Instytutu w Piotrogrodzie, na której drzwiach jakimś kwaczem, umoczonym w czarnej mazi, wypisano napis: „*Wsierosijskij Wojenno-rewolucjonnyj Komitet*"—nie zostały zebrane i uporządkowane,jako teoria, a zwłaszcza praktyka przeprowadzenia rewolucji. Istotnie też przedostają się od czasu do czasu do szerszej wiadomości tajne instrukcje, wydawane przez moskiewskich zawodowców, zawierające jak najszczegółowsze przepisy postępowania w okresach przygotowawczych i w pierwszych dniach rewolucji, jakie instytucje mają być zawczasu obsadzone przez zwolenników przewrotu, którzy do czasu mają udawać gorliwych służbistów, jak sparaliżować maszynę państwową przez zajęcie telegrafu, telefonu, radia, zatrzymanie transportu itd. Instrukcje te opierają się na doświadczeniu, że drobna grupa, zorganizowana i wiedząca czego chce z łatwością pokieruje bierną przeważnie większością i zaprowadzi ją tam, dokąd ta większość wcale nie miała zamiaru iść. Opecnie dziennik „*Echo de Paris*" ogłasza instrukcję wydaną przez komunistów francuskich o sposobach opanowania armii. Instrukcja ta jest bardzo interesująca, a ponieważ nie jest wytworem francuskim, lecz pochodzi z wspólnego źródła, więc można przypuszczać, iż rozpowszechniana jest również w innych krajach.

Podstawą działania jest jak zwykle „jaczejka", komórka komunistyczna, która ma być zawiązana w każdym oddziale. Komórka ta ma stale utrzymywać *à jour* spisy żołnierzy i podoficerów, podzielone na wrogów, neutralnych i sympatyków komuny, a z chwilą wybuchu obowiązana jest „pod ścisłą odpowiedzialnością i bez najmniejszego wahania" usunąć (tzn. wymordować) tych wszystkich, którzy byli zakwalifikowani jako wrogowie, czy to będą oficerowie, czy podoficerzy, lub szeregowcy". Tak przygotowawszy grunt jaczejka ma postarać się o dopuszczenie do koszar właściwych rewolucjonistów, składających się z wyszkolonej milicji. Oddział takiej milicji zjawi się, mając wyznaczonego dowódcę, który obejmuje natychmiast władzę, a wszelki opór dławi siłą przybyła wraz z nim „egzekutywa". Zaskoczona w ten sposób kompania będzie poddana oczywiście usilnej agitacji i utrzymana w biernej podstawie wobec nowej władzy.

Wyżsi przywódcy, generałowie, mają być bezwarunkowo wszyscy wymordowani. Do tego celu przygotowane będą specjalne drobne oddziałki (po 10 ludzi), uzbrojone w ręczne karabiny maszynowe. Trzech przeznaczonych jest do zamordowania generała, inni „załatwią" się z jego sztabem. Jednak dla pewności należy starać się zaskoczyć generała w mieszkaniu, gdyż w komendzie może się napad nie udać ze względu na obecność sztabu i żołnierzy. Ulice w pobliżu koszar mają być obstawione przez uzbrojone posterunki, które będą wyłapywać i unieszkodliwiać oficerów, spieszących do koszar na alarm.

Milicja komunistyczna, która ma opanować wszystko w pierwszej chwili przewrotu, będzie ubrana w mundury wojskowe lub policyjne dla łatwiejszego wypełnienia zadań. W mundurach tych będzie dokonywała również aresztowań osób cywilnych, przedewszystkiem przywódców stronnictw, którzy, aczkolwiek aresztowani pod pozorem zapewnienia im bezpieczeństwa, mają być jednak niezwłocznie, podobnie jak generałowie, wymordowani.

Wszystko w tych instrukcjach jest przewidziane aż do drobnych, a ważnych szczegółów, których zlekceważenie mogłoby zepsuć całą sprawę. Doświadczenia rosyjskiej wojny domowej i niszczenia burżuazji zostały w pełni wyzyskane i dostosowane do stosunków kraju, pozostającego w stanie pokoju, A wszystko jest obliczone na zaskoczenie, wytracenie dowódców, poczem masa da się już poprowadzić. Gniew ludu, jak widzimy, znalazł wykwalifikowanych i dobrze wyszkolonych wyrazicieli. ARGUS

NA MARGINESIE

U Swifta w przygodach Guliwera jest mowa o słynnej Akademii Wynalazków. Był w tym przybytku radosnej twórczości wydział, gdzie mądrzy architekci pracowali wyłącznie nad sposobem budowania domu, poczynając od dachu. W wydziale hodowlanym biedzono się nad doprowadzeniem owcy do takiej urody, żeby nie miała zgoła wełny. Skórę miałaby na sobie jak glansowana rękawiczka. Chemicy mozolili się nad tem, jakby z ekskrementów odtworzyć z powrotem zjedzoną substancję. I t. d. W wydziale prawodawstwa wypracowano projekt nowego systemu penitencyjnego, polegającego na tem, aby zamiast obywateli, którzy skłócili się z kodeksem, wsadzać do kozy prezesów stowarzyszeń, do których odnośni obywatele należą, bo przecież w cywilizowanem społeczeństwie każdy obywatel do czegoś należy. Jakaż to ulga ekonomiczna dla więziennictwa i jakie dźwignięcie życia więzień na wyższy poziom! A wreszcie jak doniosły eksperyment dla socjologów. Śledziliby, w jaki sposób cywilizowane społeczeństwo wraca z powrotem do stanu pierwotnego.

•

Oświadczenie premiera Składkowskiego, że „przywódców Str. Narodowego wyśle do Berezy, jeśli nie nastąpi uspokojenie w W. Mazowieckiem", wywołało zadowolenie wśród żydów. „Nasz Przegląd" pisze:

„Stwierdzić musimy z całą lojalnością, iż wystąpienie gen. Sławoja-Składkowskiego wywoła w społeczeństwie żydowskiem uczucie pewnej ulgi".

Całkowitą ulgę przyniesie żydom dopiero „*fołks*-front".

ERRATA: W nr. 3 „Myśli Nar." w art. „Żydzi w Anglii" szp. 2, w. 11 od góry powinno być: „Belloca, autora krytycznej książki".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.